Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Na str. 6: Rozstrzygnięcie Konkursu Literackiego „NA DROGACH KU POLSCE LUDOWEJ"

ROK X. Warszawa, 30 maja 1954 r. Nr (444) 22

KOMUNIKAT JURY
NAGRODY IM. WŁ. PIETRZAKA
o przyznaniu nagród w r. 1954

Jury nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka w składzie: ks. dr Marian Michalski, prof. Uniw. Jagiellońskiego — przewodniczący, ks. dr Józef Keller, prof. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, dr Kalikst Morawski, prof. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Witold Jankowski, red. „Słowa Powszechnego", Andrzej Krasiński, red. „Dziś i Jutro", Zygmunt Lichniak, krytyk literacki, Mikołaj Rostworowski, poeta

na posiedzeniu w dn. 18. V. po ożywionej dyskusji jednomyślnie przyznało na rok 1954

I nagrodę naukową — w wysokości zł 7.000,—

ks. prof. dr **MIECZYSŁAWOWI ŻYWCZYŃSKIEMU**

za całokształt działalności naukowej.

II nagrodę literacką — w wysokości zł 6.000,—

JANOWI DOBRACZYŃSKIEMU

za „Klucz mądrości" i „Listy Nikodema".

III nagrodę publicystyczną — po zł 5.000,—

MIECZYSŁAWOWI KURZYNIE

za działalność publicystyczną i wieloletnią pracę redaktorską.

TADEUSZOWI MAZOWIECKIEMU

za działalność publicystyczną oraz redagowanie „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego", umacniającego polskosc na Ziemiach Zachodnich.

IV nagrodę młodych — w wysokości zł 3.000,—

JULIUSZOWI DOMAŃSKIEMU

za dotychczasowe prace w zakresie nauki i publicystyki.

Uroczystość wręczenia nagród tegorocznym laureatom odbędzie się w dn. 30 maja br.

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

OD KIEDY OJCZYZNA NASZA NAZYWA SIĘ POLSKĄ?

OKOLICZNOŚĆ, że nazywamy się dzisiaj Polakami, wydawać by się mogła oczywistością. Ale ta oczywistość ma jednak swoje początki. Bywało bowiem, że nazywaliśmy się inaczej. Wprawdzie lansowano pomysły, ażeby zapis „Soulanes", znany z rękopisów Ptolomeusza, poprawić na „Boulanes", a w ślad za tym, żeby czytać tych Boulanes jako Polan. Ale ta korektura jest więcej niż wątpliwa i dlatego trzeba rozstać się z przypuszczeniem o istnieniu jakichś Polan już w drugim wieku p.n. Chr. Oczywiście, nie oznacza to, jakoby w tym czasie, na obszarach nazwanych później krajem Polan, nie było zasiedlania słowiańskiego. Takiemu twierdzeniu przeczy zresztą u samego Ptolomeusza wymienienie nazwy Kalisza, niewątpliwie wielkopolskiego Kalisza, ze znanego punktu przejściowego na drodze z południa na północ od Bramy Morawskiej do ujść Wisły. Ale o tym, jakie nazwy miały ludy mieszkające w tych stronach późniejszej Polski, wiemy bardzo mało.

Sprawy ulegają znacznej zmianie, gdy posuwamy się ku końcowi pierwszego tysiąclecia n.e. W wieku IX mnożą się wzmianki o ludach zamieszkujących ziemie Polski.

Stosunkowo wymowne są wiadomości o późniejszej Małopolsce. Mieszkał tam lud Wiślan, zaświadczony przez liczne teksty historyczne. Teksty te podają coś więcej niż samą nazwę. Informują bowiem nie tylko o „bardzo potężnym" księciu Wiślan, ale także o jego pokonaniu i pobiciu przez współczesne temu księciu potężne państwo wielkomorawskie.

Zdaje się, że nazwa Wiślan miała zasięg mniej więcej odpowiadający późniejszej historycznej Małopolsce, tzn. ziemi krakowskiej, sandomierskiej i lubelskiej (ta ostatnia zresztą jako odrębna jednostka wyłoniła się dopiero w XV wieku).

Historię Wiślan, zakończoną podbojem ich przez państwo wielkomorawskie, usiłowano rozpocząć już kilka wieków przedtem. W szczególności wskazano na wzmiankę o „puszczy Wiślan" występującą w zabytku znanym pod nazwą „Podróże śpiewaka". Zabytek ten powstał, być może, już w drugiej połowie VI w. p.n. Chr.

Jakkolwiek sprawa się ma, przecież jest rzeczą znamienną, że nazwa Wiślan wyparta została przez późniejszą historię. Nic jej nie pomogło, nawet prawdopodobne długie wieki istnienia. Gdyby nie nieliczne fragmenty źródłowe, które dochowały się do naszych czasów, prawdopodobnie niczego byśmy o tej nazwie nie wiedzieli.

*

BARDZIEJ wymowne są informacje dotyczące nazw z obszaru późniejszego Śląska. A więc termin Śląsk jako określenie całej późniejszej jednej prowincji — dzielnicy polskiej, jest niewątpliwie pochodny. W źródłach współczesnych wzmiance o Wiślanach spotykamy na obszarze Śląska kilka pomniejszych plemion. Z nich tylko jedno siedzące nad rzeczką Ślęzą (lewobrzeżnym dopływem wpadającym do Odry lekko na północ od Wrocławia, na obszarze dzisiejszej podmiejskiej dzielnicy — Oporowa), dokoła góry Ślęż i grodu Niemczy, nosi nazwę Ślężan. Z tą nazwą było dużo nieporozumień, ile że dawniejsza nauka, nie tylko zresztą niemiecka, pozostająca pod sugestią znacznej obecności plemion wschodnio - germańskich na ziemiach polskich w pierwszej połowie pierwszego tysiąclecia p.n. Chr. — wiązała owych Ślężan z germańskimi Silingami. Poglądu tego bronili nie tylko uczeni niemieccy, między nimi — tej miary co M. Vasmer, ale — spośród polskich — również słynny Aleksander Brückner. Wypisywano dosłownie całe „Räubergeschichten" na temat tego, że reszta owych Silingów miała się bronić na górze Ślęż i że od nich miano nazwać sąsiedni gród — Niemczą.

To wszystko dzisiaj nie da się utrzymać. Nazwa Niemcza łączy się prawdopodobnie z osadzeniem jeńców pochodzenia niemieckiego. Co się zaś tyczy nazw góry Ślęż i rzeczki Ślęża, to nazwa góry jest pochodna od nazwy rzeczki, nazwa zaś rzeczki jest pochodzenia notorycznie słowiańskiego i polskiego. Wywodzi się ze źródłosłowa „ślągnąć", czyli tyle co moknąć, nasiąknąć wilgocią.

Równie słowiański charakter mają inne nazwy terytoriów plemiennych śląskich. Idąc od południa ku północy spotykamy najpierw Gołężyców na pograniczu zasiedlenia czesko - polskiego. Dalej dokoła Opola — Opolan. Nad górnym Bobrem siedzieli Bobrzanie, a na północny wschód od nich, dokoła Lignicy, prawdopodobnie Trzebowianie. Na koniec, w widłach, które tworzą rzeki Bóbr i Odra, gdzieś pomiędzy Krosnem a Głogowem — Dziadoszanie.

Co oznaczały te nazwy? Gołężyce i Dziadoszanie — to są nazwy patronimiczne, urobione od jakiegoś Gołęgi i Dziadoszan. Nazwa Opolanie wskazuje na jej swoiste „administracyjne" pochodzenie zważywszy okoliczność, że opolem nazywano w Słowiańszczyźnie terytorialny związek rodów. Do jakiegoś takiego terytorialnego związku przylgnęła ta nazwa, jak to się niekiedy zdarza, jako szczególna. Nazwa Bobrzanie jest podobnego pochodzenia jak Ślężanie: obie wywodzą się od nazwy rzeki, nad którą plemię osiadło. Co się tyczy nazwy Trzebowianie, pochodzenie jej łączy się z faktem trzebienia lasów na terenie zasiedlenia Trzebowian. Ale nie jest rzeczą wykluczoną, że i tutaj nazwa ta najpierw przylgnęła do rzeki. Przypuszczają bowiem niektórzy, a zdanie to podziela i badacz nazw plemiennych Śląska, prof. W. Taszycki, że rzeczka znana na Śląsku pod nazwą „Katzbach", mogła nazywać się w języku polskim Trzebową. A stąd plemię nad nią rozsiedlone — Trzebowianami. Ale tu już jesteśmy w sferze przypuszczeń. Na każdy bądź wypadek te poszczególne nazwy plemienne dość gruntownie pozanikały. Utrzymała się coprawda nazwa Opolan, ale nie jako nazwa plemienna, tylko najpierw jako nazwa grodu, później — miasta. Karierę natomiast zrobiła nazwa Śląsk. Nazwa ta bowiem nie tylko nie zanikła, jak podobne i współrzędne jej nazwy: Bobrzan, Trzebowian i Dziadoszan ale stała się w nowych warunkach nazwą całej prowincji — dzielnicy. Ta okoliczność wiąże się również z powstaniem diecezji wrocławskiej. Ona narzuciła jedność administracyjną różnym luźnym dotąd związkom plemiennym i osadniczym i ona też na tę nową jedność przeniosła nazwę zakotwiczoną pierwotnie tylko w małym kraiku nad rzeczką Ślężą.

*

GDY tak się sprawy miały na Śląsku, o wiele mniej są wymowne źródła gdy chodzi o położone na północ od Śląska — Pomorze, a zwłaszcza jego zachodnią część, Pomorze tzw. Szczecińskie. W tekstach, współczesnych zapiskom o Wiślanach, a w szczególności u tzw. Geografa Bawarskiego, który podaje wiadomość o ludach mieszkających na północ od Dunaju, dowiadujemy się o dwu prawdopodobnych plemionach Pomorza nadodrzańskiego. Wymienia bowiem tzw. Geograf Bawarski (tekst pochodzi prawdopodobnie z połowy IX wieku p.n. Chr.) plemiona „Velunzani" i „Prissani". Tych pierwszych dawniej już zestawił był Stanisław Zakrzewski ze znanym zapisem Kroniki Wielkopolskiej, mówiącej: *„Welunecz quod alias Julin dicibatur"*, to znaczy, że znany gród zachodnio - pomorski Julin (alias Wolin) nazwany jest przez Kronikę Wielkopolską Wieluniem. To znaczy, że Wieluńczanie Geografa Bawarskiego, to znani nam skądinąd Wolinianie, czyli mieszkańcy Wolina — Julinu. Występujących u tego samego Geografa Bawarskiego plemiennych „Prissani" zidentyfikował wspomniany St. Zakrzewski z nadodrzańskimi Pyrzycami. Pyrzyce w żywocie św. Ottona, pióra Herborda, występują jako „castrum Pirissa".

Identyfikacja tych nazw Geografa Bawarskiego jako zachodnio-pomorskich jest także z tego względu bardzo prawdopodobna, że leżą one na szlaku prowadzącym na prawym brzegu Odry do jej ujść. Terytorium Pyrzyc, to terytorium starego, dość intensywnego zasiedlenia. Wolin — Julin, to słynna osada handlowa u ujść Odry. Geograf Bawarski, który zajmował się dość dokładnie opisem nazw plemiennych na Śląsku, prawdopodobnie interesował się i ciągiem plemion bardziej ku północy, ku ujściom rzeki. Nazwa Velunzani nie jest zresztą w źródłach zupełnie odosobniona. Wszak później sekunduje jej autor dziejów saskich, Widukind. On to — opisując najpierw pod r. 963, później zaś 967 boje grafa saskiego Wichmana z księciem Mieszkiem I — wymienia — jako przeciwników Mieszka a współdziałających z Wichmanem — plemię „Vuloini". W 40 lat po tym pojawią się ci „Vuloini" o kontynuatora Widukinda, biskupa merseburskiego Thietmara. Powiada on pod rokiem 1007, że przybyło do króla Henryka II poselstwo „od Luciców i od wielkiego miasta, zwanego Wolin" (*„de Liuticis et ab iis, qui a civitate magna Livilni dicta missi fuerant"*) Znana nam już z wojen Mieszka I z Wichmanem koalicja wielecko — (luicicko) woliniańska utrzymuje się więc nadal.

Źródła rzuciły promień silnego światła na stosunki plemienne przyodrzańskiego Pomorza. Obszary położone w środku i ku wschodowi Pomorza nie znajdują, niestety, objaśnienia źródłowego.

*

ALE jak przedstawiają się sprawy w ówczesnej Polsce środkowej? O tym, że Geograf Bawarski mógł znać te strony świadczy znajomość przez niego dróg handlowych, które przebiegały od Bramy Morawskiej do ujść Odry. Powiada wszak w jednym miejscu, mówiąc o osiedlach Prusów, że rozległość ich jest szersza niż odległość od rzeki Enns do Renu.

Znany historyczny szlak prowadził z południa na północ poprzez Kalisz, Konin, Kruszwicę, do ujść Wisły. Znajomość przez tzw. Geografa plemion, które osiedlone były na tym szlaku, jest więc bardzo prawdopodobna. Ale o jednym tylko z nich możemy z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że osiedlone ono było w tych stronach. Są to tzw. „Głopeani", czyli Goplanie, wykazujący zresztą niepokojącą ilość „grodów". W każdym bądź razie Goplanie obok Wiślan, to jest realna formacja i nazwa plemienna Polski przedpiastowskiej.

O tym, jaki był zasięg tych Goplan, trudno nam w tej chwili powiedzieć. Należy jednak zauważyć, że znakomity mediewista — prof. Kazimierz Tymieniecki, wiąże ze środkową Polską inną nazwę występującą u Geografa Bawarskiego, a mianowicie nazwę „Lendizi".

Ta hipoteza pozwala nam na przejście do uwag w przedmiocie formowania się nazwy ogólnej państwa polskiego. Nie może bowiem ulegać wątpliwości, że nazwa Lendizi jest w etymologicznym związku z nazwą ogółu plemion polskich, a nawet plemion zachodniosłowiańskich w ogóle, tak jak ona ukształciła się na Rusi. Ruś bowiem nazywała ogół plemion polskich, a także pobratymczych plemionom polskim Luciców — Lachami. Co do etymologii słowa Lach, nie mamy dzisiaj wątpliwości.

W ruskim Lach (lechickie Lęch) tkwi słowo „lędy", tzn. ugór. Owoż z terminem lędy zapis Lendizi jest w bezpośrednim związku. Tymieniecki sądził, że nazwa Lendizi była synonimem nazwy Polanie i że zatem pod mianem Lendizi kryje się starsza historia Wielkopolski. Sądził głównie na tej podstawie, że Geograf Bawarski musiał znać obraz plemion Polski środkowej.

Jakkolwiek słuszna byłaby ta ostatnia przesłanka i powiedzieć o niej trzeba, że skłaniać ona musi badaczy do uporczywego szukania plemion na obszarze Polski środkowej — to jednak inne człony rozumowania Tymienieckiego są mniej przekonujące. Najpierw twierdzenie, jakoby Lendizi byli synonimem (wariantem) nazwy Polanie. Podobieństwo treściowe nazw może nie mieć żadnego związku z ich identycznością. Nade wszystko jednak jest mało prawdopodobne, ażeby plemiona ruskie wzięły nazwę ogółu plemion zachodnio - słowiańskich od plemienia, które przecież nie siedziało na granicy zasiedlenia polsko - ruskiego, lecz było głęboko wysunięte ku owczesnej zachodniej Słowiańszczyźnie.

Inne przypuszczenie wysunął w tych sprawach inny wybitny mediewista, prof. Henryk Łowmiański. Opierając się częściowo na krytyce przeprowadzonej w stosunku do tzw. latopisu Nestora przez uczonego radzieckiego, W. Koroluka — wysunął przypuszczenie, że znany zapis tzw. Nestora, który powiada pod r. 981: *„szedł Włodzimierz na Lachy i zajął grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne grody, które są po dziś dzień pod Rusią"* — nie dotyczy stosunków polsko-ruskich, lecz walki Włodzimierza Wielkiego z plemieniem Lachów — Lędziców, nie włączonych jeszcze do państwowości polskiej. Ci Lędzice, według przypuszczenia Łowmiańskiego, mieszkać mieli w ziemi sandomierskiej i stamtąd ekspandowali na obszar Grodów Czerwieńskich. Hipoteza ta ma w sobie pewne ziarno słuszności, nie obce zresztą, jak widzieliśmy, pomysłom Tymienieckiego. O ile tamto ziarno widzieliśmy w chęci odszukania obrazu plemion polskich na obszarze Polski środkowej, o tyle to tkwi w prawdopodobnym fakcie, że jacyś Lendizi kiedyś mieszkali na pograniczu zasiedlenia słowiańsko - ruskiego. Wymienia wprawdzie Łowmiański Lenzaninoi Konstantego Porfirogenety, ale ci siedzą dużo bardziej ku wschodowi, nad Dnieprem. Nie mamy zaś śladu żadnych plemiennych Lędziców na obszarze Sandomierszczyzny. Na terytorium zaś Grodów Czerwieńskich, które było obiektem wyprawy Włodzimierza Wielkiego, mieszkali nie Lędzice, lecz dobrze ze źródeł znani Buzanie. Dlatego też nie widzimy podstawy ani do eliminacji, ani do tak dalece idącego wyinterpretowania tekstu tzw. Nestora. Przyjmujemy jego brzmienie tradycyjne, to znaczy, że zdarzenie z r. 981 należy do sfery stosunków polsko - ruskich. Rozumiemy zaś sprawę w ten sposób, że państwo piastowskie w pierwszej połowie X wieku wykorzystało te możliwości, które posiadali poprzedzający je Goplanie. Na gruncie tych związków, jakie były udziałom Goplan, rozwinęła się pierwiastkowa ekspansja państwa piastowskiego w kierunku wschodnim i południowo-wschodnim. W ten sposób państwo to dotarło aż do obszaru Bugu, czyli na terytorium zasiedlenia już plemion ruskich.

Uderzenie Włodzimierza Wielkiego, podjęte w r. 981 miało doniosłe znaczenie dla całej następnej historii piastowskiej. Ziemia krakowska była w tym momencie jeszcze pod rządami czeskimi. Gdy wyprawa Włodzimierza Wielkiego posunęła się głęboko na południo-

(Dokończenie na str. 4)

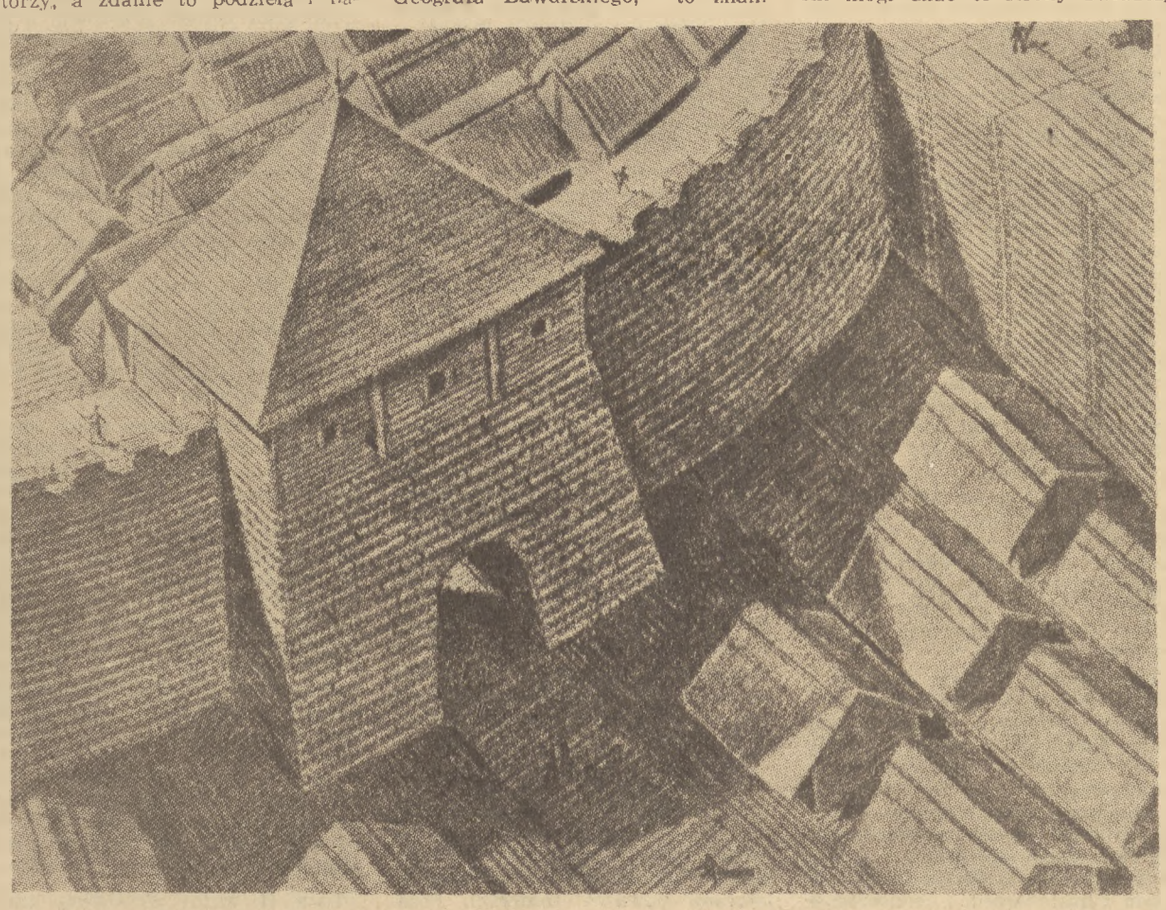

Rekonstrukcja grodu słowiańskiego, części przedgrodzia w Klecku w pow. gnieźnieńskim

DOMINIK HORODYŃSKI

Korespondencja z Genewy

PO CZTERECH TYGODNIACH

PIĄTY tydzień konferencji rozpoczyna się w nastroju uzasadnionego optymizmu. Gdy spojrzymy wstecz na tę czterotygodniową ciężką próbę sił, której terenem była nie tylko Genewa, zobaczymy, że znaczenie konferencji rysuje się dziś znacznie wyraźniej, niż u początku jej obrad.

Konferencja zwołana dla pokojowego uregulowania problemu Korei i Indochin przekształciła się w swojej pierwszej fazie — w wyniku prowokacyjnych posunięć amerykańskich i min. Bidault — w doraźną bitwę o utrzymanie pokoju na świecie. Można już powiedzieć, że bitwa ta została wygrana. Ale nie jest przesadą stwierdzenie, że w pewnym momencie otarliśmy się o wojnę. Wystarczy przypomnieć artykuł braci Alsop, którzy w „New York Herald Tribune" ubolewali, że wszystko było już przygotowane do zastosowania taktycznego broni atomowej w Wietnamie, i nic z tego nie wyszło. Podobnie jak w 1950 roku na Korei Amerykanie znów nie mogli rzucić bomby. Siły pokoju okazały się mocniejsze.

Tak więc pierwszym punktem porządku dziennego konferencji — punktem nieprzewidzianym w Berlinie — stało się doraźne uratowanie pokoju. Dopiero po wykonaniu tego zadania konferencja mogła zająć się rzeczowo i konkretnie sprawą Korei i Indochin. Rzecz jasna, że wobec toczącej się wojny w Wietnamie i związanego z nią całego kompleksu zagadnień, sprawa Indochin koncentrowała główną uwagę opinii publicznej. Ale powszechna staje się świadomość, że wbrew napięciom ostatnich tygodni coraz realniejsza możliwość pokojowego rozwiązania kwestii Korei i Indochin niesie z sobą nowe jakościowo perspektywy zasadniczych pokojowych zmian w sytuacji międzynarodowej. Dotychczasowy przebieg konferencji raz jeszcze unaocznił, jak w ciężkiej walce z siłami wojny buduje się pokój.

WASZYNGTON PRZECIWKO GENEWIE

W ciągu minionego tygodnia działo się wiele rzeczy na świecie i w Genewie, częstokroć pełnych sprzeczności, które załamywały się tutaj jak w krzywym zwierciadle, wyznaczając zmienną krzywą nerwowych wahań nastrojów korespondentów i obserwatorów konferencji. Obserwatorzy ci jednak mniej się im poddawali niż w tygodniach poprzednich, bo zdążyli już dość dobrze poznać sprężyny wydarzeń. Te zaś nie ulegają tak szybkim zmianom. Takim elementem stałym jest m. in. konsekwentne sabotowanie konferencji przez Stany Zjednoczone i ponawianie prób rozszerzenia wojny. Podobnie elementem stałym jest niezłomna wierność dyrektywom Waszyngtonu francuskiego ministra spraw zagranicznych.

Czytając prasę kierowaną przez Departament Stanu można by odnieść wrażenie, że w sprawie Indochin jest rzeczą zupełnie nieważną, co się robi w Genewie, że natomiast ważne są spotkania i rozmowy prowadzone przez Departament Stanu i Pentagon w Paryżu, Waszyngtonie, Singapur, Sajgonie i wszędzie indziej na świecie z wyjątkiem genewskiego Pałacu Narodów. Obecni tu delegaci i dziennikarze amerykańscy dzielnie wspierani przez wpływowych członków delegacji francuskiej (ku zakłopotaniu większości dziennikarzy francuskich) codziennie rozsiewają wiadomości, według których albo na sali obrad albo w Paryżu, Waszyngtonie, Sajgonie itd. stały się rzeczy ostatecznie przesadzające o niepowodzeniu konferencji.

Wbrew tej całej kampanii prace konferencji posuwają się naprzód i rzeczywistość stale przekreśla amerykańskie plany.

Po odmowie Anglii bezpośrednia interwencja wojskowa stała się niemożliwa ze względu na jesienne wybory do Kongresu. Roztrąbiony pakt południowo - wschodnio azjatycki stopniowo schodzi z czołówek dzienników amerykańskich. Nawet impreza tak niepoważna jak powietrzny most lotnictwa amerykańskiego między Francją i Indochinami (który pozwoliłby przemysłowi wojennemu zarabiać) też nie jest realizowana. Państwa, nad którymi samoloty miałyby przelatywać, stanowczo odmówiły swej zgody. Naprzykład wczoraj opublikowana została oficjalna odmowa Egiptu w odpowiedzi na zapytanie Departamentu Stanu w tej sprawie.

Wszystkie te wojenne projekty miały jak dotychczas jeden skutek: wzburzyły przeciwko polityce Stanów Zjednoczonych narody Azji i całą opinię światową spragnioną pokoju.

Według tutejszych informacji obecny plan amerykański polega na uniemożliwieniu zawarcia porozumienia w sprawie Indochin i przeciągnięcia wojny do listopada. Departament Stanu ma nadzieję, że po wyborach do Kongresu Stany Zjednoczone będą mogły wziąć udział w wojnie. Rachuje też na napięcie sytuacji międzynarodowej, jakie wywołałoby niepowodzenie konferencji. Jest to plan optymalny, bo większość polityków amerykańskich zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że nie uda się uniemożliwić zawarcia rozejmu w Indochinach. Dlatego w porozumieniu z ministrami Bidault i Bao-Daiem szykowany jest plan zastępczy nazwany przez ostatnią „La Tribune des Nations" przygotowywaniem warunków do drugiej wojny w Indochinach. Plan ten przewidując, że, wobec nacisku opinii francuskiej i stanowiska demokratycznego Wietnamu, min. Bidault trudno będzie nie zgodzić się na rozejm, chce zapewnić stronie francuskiej takie warunki rozejmu, które umożliwiłyby rozpoczęcie nowej wojny w korzystniejszej sytuacji militarnej. W świetle tego planu staje się rzeczą jasną, dlaczego Bidault w dyskusji o zawieszeniu broni z uporem twierdzi, że jedynie ważne jest omówienie warunków wojskowych. Natomiast zagadnienia polityczne winny być odłożone na później. Chodzi o to, aby żadne zobowiązania międzynarodowe nie utrudniały zerwania rozejmu — rozejmu, który nie jest jeszcze zawarty i o którego zawarcie jeszcze się walczy.

Szczególna rola w tych planach przypada Bao-Daiowi, który po pierwsze ma możliwie jak najdłużej utrudniać zawarcie rozejmu, po drugie ma jak najbardziej uniezależnić się od Francji i w odpowiednim momencie w charakterze „niepodległego" suwerena ogłosić, że został napadnięty i zwrócić się z prośbą o wojskową interwencję Stanów Zjednoczonych. By zapewnić odpowiednie pozory i przygotować bazę wypadową Amerykanie zabierają się — za zgodą min. Bidault — do organizowania wietnamskiej armii baodaistów, którą szkolić mają oficerowie amerykańscy.

Cóż można o tym pięknym planie powiedzieć? — po prostu jest on taki sam jak wszystkie ostatnie plany amerykańskie. Nie bierze pod uwagę rzeczywistości, zapomina, że Departament Stanu nie rządzi światem i nie kieruje historią. Przy takich przeoczeniach zupełnym drobiazgiem jest mylenie ministra Bidault z Francją, Bao-Daia z Wietnamem.

EDEN I KOALICJA AMERYKAŃSKO - FRANCUSKA

TYM razem nie będę pisał o tutejszych wyczynach delegacji francuskiej. Są one zbyt znane. Wczorajszy „Economist" porównuje rząd francuski do byka na arenie straszliwie pokaleczonego przez toreadora, który jednak go nie dobija, bo w tej niezwykłej walce obowiązywała umowa, że byk nie będzie zabity lecz zdechnie z ran. Konający rząd francuski zapomniał, że reprezentuje wielki kraj i, aby przedłużyć własne istnienie, zdał się na łaskę i niełaskę Departamentu Stanu podporządkowując mu całkowicie politykę Francji. Nieściśle byłoby nazwać ten związek koalicją amerykańsko - francuską, bo pojęcie koalicji implikuje istnienie mniej więcej równoprawnych partnerów. Zostańmy jednak przy tym terminie mimo, że nie odpowiada on swej zwykłej treści. Ma tę zaletę, że jest krótki.

Ta szczególna koalicja wywołała szereg skutków. Między innymi przyspieszyła wystąpienie na jaw sprzeczności anglo - amerykańskich. Istnienie tych sprzeczności dla nikogo nie było tajemnicą. Nigdy jednak od zakończenia drugiej wojny światowej nie ujawniły się one z taką siłą i nie przybrały tak szerokich rozmiarów.

Parokrotne oświadczenia Churchilla w ostatnich tygodniach i postępowanie Edena na konferencji w sprawie Indochin dowodzą, że W. Brytania skłonna jest do współpracy przy pokojowym rozwiązywaniu problemów Azji i nie chce uczestniczyć w awanturniczych poczynaniach amerykańskich.

Trzykrotnie w toku konferencji polityka angielska zderzyła się z polityką Departamentu Stanu. Po raz pierwszy na samym początku, gdy Churchill odmówił swego udziału w projektowanej interwencji i w rozmowie z admirałem Radfordem wyśmiał jego plany „new look"-u wojennego w Azji. Po raz drugi, gdy dyplomacja brytyjska utrudniła Dullesowi zmontowanie sławetnego paktu południowo-wschodnio azjatyckiego. Po raz trzeci wreszcie — w tym wypadku jest to konflikt ciągły — przez całą postawę Edena w debacie indochińskiej, w której szef Foreign Office wbrew swemu amerykańskiemu koledze stara się odgrywać rolę mediacyjną. Nie miejsce w tak krótkim artykule analizować przyczyny takiego właśnie stanowiska W. Brytanii ani też dalszych celów jej polityki. W każdym razie spotkała się ona z jak najgorszym przyjęciem w Waszyngtonie. Prezydent Eisenhower oświadczył wprost, że jeżeli W. Brytania będzie dalej stawiać warunki w stosunku do projektowanego paktu azjatyckiego, Stany Zjednoczone i Francja zajmą się paktem bez niej. Ostentacyjnie podjęte zostały „tajne" rozmowy wojskowe amerykańsko-francuskie poza Genewą.

Z okazji tego zaostrzenia sprzeczności nie oszczędzono sobie obustronnych złośliwości, znacznie zresztą dyskretniejszych ze strony Londynu. Np. Foreign Office, by usprawiedliwić swe milczenie po wystąpieniu Eisenhowera, wyciągnął z zapomnienia jakiś stary zwyczaj, według którego protokół zakazuje komentowania publicznych oświadczeń głowy państwa. Niewątpliwie strona brytyjska chciałaby uniknąć rozgłosu wokół rozbieżności anglo - amerykańskich. Ale trudno się nie uśmiechnąć, gdy się czyta oświadczenie Churchilla w Izbie Gmin z 20 maja, który twierdzi, że o rozmowach wojskowych francusko - amerykańskich dowiedział się z prasy. Na pytanie posła lobourzystowskiego Healey'a, czy postępowanie Ameryki i Francji ułatwia pokojowe rozwiązanie problemu indochińskiego i czy zgodne jest z duchem paktu atlantyckiego, Churchill odpowiedział: „Te same pytania zjawiły się i w moim umyśle". Bardziej złośliwy okazał się Eden, gdy zapytany przez labourzystę Crossmana, czy Bidault szczerze pragnie pokoju, odpowiedział: „Nie sądzę, żeby pragnął wojny".

Nic dziwnego, że z okazji obchodzonych wczoraj uroczystości „entente cordiale" z W. Brytanią, Eden nie zatrzymał się dłużej jak parę godzin w Paryżu. Maurice Duverger pisze w „Le Monde" 22 maja, że min. Bidault przyjeżdża do Paryża, by na trupa „entente cordiale", którą sam zabił, rzucić parę kwiatów nic nie znaczącej retoryki.

„PROPOZYCJE ROZSĄDNE I KOMPROMISOWE"

STANOWCZE żądanie pokojowych rozwiązań przez całą opinię światową, żądanie głośno powtarzane w imieniu setek milionów ludzi przez Światową Radę Pokoju w Berlinie, stały nacisk opinii Francji na delegację francuską, zwycięstwa wojsk demokratycznego Wietnamu, stanowcze ale pełne umiaru stanowisko delegacji obozu pokoju w Genewie — te wszystkie czynniki sprawiają, że konferencja ma coraz większe szanse na zakończenie się sukcesem. Aby osiągnąć ten sukces potrzebny jest z obu stron rozsądek, dobra wola i duch kompromisu.

Gdy przedwczoraj odczytane zostały propozycje min. Czou-En-Laia dotyczące Korei, w Domu Prasowym słyszało się jedno określenie: „to są propozycje rozsądne i kompromisowe". Tak samo, rozsądne i kompromisowe są propozycje demokratycznego Wietnamu dotyczące zakończenia wojny w Indochinach i delegacja Demokratycznej Republiki Wietnamu wykazała daleko idącą dobrą wolę zgadzając się, aby za podstawę dyskusji w kwestii indochińskiej obok jej propozycji przyjęto także znacznie mniej rozsądne propozycje francuskiej delegacji. Był to jeszcze jeden sposób zmuszenia min. Bidault do przyjęcia konkretnej rozmowy o zakończeniu wojny.

Wydaje się, że konferencja potrwa jeszcze dość długo. Muszą powstać komisje dla opracowania poszczególnych zagadnień. Musi być dokonany ogromny wysiłek, aby w sposób trwały zapewnić pokój, jedność i rozwój krajowi, w którym od 8 lat toczy się wojna. Podobnie nie jest rzeczą łatwą zapewnić te same wartości Korei, gdzie tak wiele zainwestowali zwolennicy wojny. Jednak wynik czterotygodniowych, ciężkich zmagań politycznych w Genewie wskazuje, że droga do pokoju została otwarta.

W Międzynarodowym Dniu Dziecka

Dziecię pokoju

(fragmenty dłuższego poematu)

I

Bezgraniczne polany niebios tobie wychodzą naprzeciw
Szumi gwieździsta pszenica i wzbiera srebrnym mlekiem —
Ocean potrząsa grzywą i toczy, igrając, księżycem
Wznoszą kolumny bazylik rozkwitające stolice
Schodzą się stada ogrodów — rozpinają namioty woni
I drzewa wyciągają ciężkie owocem dłonie.
Świat trwa w przymierzu z człowiekiem — ziemia przychylna jest ludziom
I ciebie najmłodszy, powita uśmiechem, kiedy się zbudzisz.
Wyrosły z czystszych niż nasze i sprawiedliwszych pokoleń
Już nie posiejesz burzy — wyorzesz pokój.

II

Matki o ciężkich powiekach i uśmiechu ptasim
Krwawiące długą żałobą — Matki azjatyckie
Schylone nad zimnym gniazdem, gdzie płacze wiatr, nad zwęgloną kołyską

Posiwiałe matki Europy — niemieckie i białoruskie
Cmentarne sny was kołyszą — otwarte blizny —
W przestworzach — na dnie oceanów i w słonej łzie
Wasi najbliżsi —

Matki jak czarne noce stygnące nad Haarlemem
Gorzkie jest mleko cierpienia z krwią przemieszane,
Łka kołysanka murzyńska i żegna dzień
Gardłowym amen

Przechodzi niebem porannym oddech głęboki
Nad wodę schodzą odbicia płonących chmur —
Zgaśnie zarzewie podstępne, rdza stoczy miecz
Będziecie kołysać dziecię swobodnym śpiewem.

III

— Którego ocalono od trudu nienawiści
— Bo tylko w głuchych legendach świeciły mi oczy wojen,
Nie wiedząc, jak to bywa, gdy ogień przychodzi z nieba,
Bo nie musiałem się chronić jak kret do trzewiów ziemi —
Którego uczono kochać a nie zabijać człowieka
Spoglądam w stronę życia — na dzieło, gdy czeka spełnienia —
I błogosławiąc istnieniu w przymierzu z powietrzem i ziemią
Podnoszę oczy ku gwiazdom, dziecię zwycięskiej epoki
A śpiew mój wtórzy przyszłości — jak żyzny siew.

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI

MARIAN CHRZCZONOWSKI

WALKA O NAFTĘ TRWA

GDY parę miesięcy temu prasa podawała sprawozdania z procesu byłego premiera Iranu, Mossadika, każdemu proces ten kojarzył się od razu z jednym słowem, które stanowi treść wszelkich machinacji i zabiegów politycznych prowadzonych przez kapitał międzynarowy w Iranie — n a f t a!

Bezlitosna walka, jaką od kilkudziesięciu lat prowadzą monopole kapitalistyczne na terenie Iranu — to walka o jedne z najbogatszych źródeł naftowych na świecie.

Historia walki o irańską naftę — to historia Iranu na przestrzeni ostatnich 50 lat.

Było to pod koniec ubiegłego stulecia. Persją rządził pobożny i „sprawiedliwy" szach Nasser-ed-Din. Naftą natomiast rządziły wówczas Ameryka i Rosja, które posiadały najbogatsze złoża.

Mądry szach zezwolił łaskawie wielu cudzoziemcom na wjazd do swego pięknego, romantycznego kraju. Uważał, że tym samym otwiera dla Persji wrota zachodniej cywilizacji. Tymczasem zaś otworzył kanał, którym przemyślni cudzoziemcy wytoczyli z Iranu jego największe bogactwo — naftę.

Wśród licznej rzeszy obcych przybyszów znalazł się jeden, niemłody już człowiek, którego poorana zmarszczkami twarz świadczyła o burzliwych kolejach jego życia. Człowiek ten nazwiskiem William Knot d'Arcy, z pochodzenia Australijczyk, przybył do Persji wiedziony dziwnym instynktem. Jeszcze w szkole, na lekcjach historii uczył się, że w starożytności na stopniach perskich świątyń płonęły przez setki lat olbrzymie pochodnie, którym wierni, jako zjawisku nadprzyrodzonemu, oddawali cześć boską. Pochodnie zgasły, ale pamięć o nich przetrwała wieki i wywołała niepokój w żądnym bogactw sercu d'Arcy'ego. — Znicze te nie mogły być niczym innym, jak płonącą naftą — rozumował słusznie Mr William i przemierzał wzdłuż i wszerz bajkową krainę szukając śladów prastarego kultu. Nafty jednak nie mógł nigdzie znaleźć. Kosztowne wyprawy i poszukiwania pochłonęły cały majątek d'Arcy'ego, on jednak nie tracił nadziei. Zabiegał o kredyty, chwytał się najrozmaitszych środków, które dałyby mu niezbędne do dalszych poszukiwań kapitały. Niezachwiany w swej wierze fanatyk — szukał. Udaje mu się uzyskać od szacha „firman" zezwalający „inżynierowi Knot d'Arcy'emu oraz wszystkim jego potomkom, krewnym i spadkobiercom korzystać w przeciągu lat 66 z pełnych praw i nieograniczonej swobody prowadzenia dowolnych poszukiwań w głębi ziemi na terenie państwa perskiego, przy czym wszelkie wydobyte przezeń kopaliny pozostają jego bezsporną własnością".

Szach zadowolony ze „świetnego" interesu, na którym zarobił 200 tys. franków, z pobłażliwym uśmiechem patrzał na bezowocne szamotanie się niezłomnego w swym optymizmie fantasty.

Mijały lata. Twarz d'Arcy'ego była coraz czarniejsza i chudsza. Naraz...! W pobliżu Zatoki Perskiej, w okolicy Mohammery, trysnęła z ziemi nafta. Olbrzymie, bogate złoża.

W jednej chwili d'Arcy jest bogatym człowiekiem, a bezwartościowy do tej pory firman szacha staje się dokumentem, o który walczyć będą największe potęgi świata. Staje się aktem sprzedaży Iranu w niewolę imperializmu.

D'Arcy jest jednak wyczerpany walką. Ma dosyć bogactw. Chce spokojnie umrzeć w swojej ojczyźnie. Odstępuje więc eksploatacje odkrytych źródeł małej, angielskiej firmie „Burmah Oil" i siada na okręt płynący do Australii. O bezcennym dokumencie szacha zamilczał jednak zdając sobie sprawę z jego olbrzymiego znaczenia dla międzynarodowych nafciarzy. Tajemnica wszakże w niewytłumaczony sposób przestała być tajemnicą. Już w Aleksandrii oczekuje d'Arcy'ego propozycja odsprzedaży firmanu za sumę 6 mln. funtów szterlingów. Odmawia. W czasie swych długich wędrówek pokochał lud perski i nie chce go wydać na łup naftożernych spekulantów.

W Kairze d'Arcy zostaje napadnięty. Dokonano włamania do jego pokoju w hotelu. Jest bez przerwy śledzony. Ale udaje mu się wymknąć z oplątującej go sieci i znowu znajduje się na pokładzie okrętu. Unika ludzi i oddaje się kontemplacjom religijnym.

Tym samym okrętem powraca z Afryki misjonarz, d'Arcy przypomina sobie ostatnią rozmowę z szachem. Usiłował on nakłonić władcę do udzielenia chrześcijańskim kapłanom pozwolenia na roztoczenie w jego kraju pracy misyjnej. Oddany Islamowi szach z oburzeniem odmówił. Żaden misjonarz nie miał prawa wjazdu do Persji. Rozmawia o tym z misjonarzem i jednocześnie zwierza mu się w zaufaniu z kłopotów, jakie ma z królewskim dokumentem. Misjonarz wpada na „genialny" pomysł. — Pogański firman otworzy bramy Persji dla chrześcijaństwa. — Pod płaszczykiem prac poszukiwawczych przyjadą do Iranu misjonarze. Więc, gdyby tak Mr d'Arcy zdecydował się oddać dokument na usługi Kościoła...? Zdziwaczały, pobożny awanturnik nie zastanawia się długo. Jeszcze przed ukończeniem podróży firman ginie pod fałdami szaty misjonarza. Gdzie nie mogła nic wskórać siła, tam wskórał rozum i spryt. Pobożny duchowny był agentem Intellingence Service. Nazywał się Sidney Reilly. „Mała firma" zaś Burmah Oil była agendą rządu angielskiego i z chwilą, gdy dokument znalazł się w Londynie, przestała ona istnieć, a na jej miejsce powstało słynne Anglo-Persian Co., którego kapitał zakładowy wynosi na początku 2 mln. f. szterlingów, przy czym około 56 proc. akcji towarzystwa po dziś dzień znajduje się w rękach Intelligence Service.

Wyrok na samodzielność państwa perskiego został przypieczętowany. Na razie jednak rząd angielski nie widział potrzeby chwalić się swą wielką zdobyczą.

Od I wojny światowej potęga Anglo-Persian wzrastała w niesłychanie szybkim tempie. Kapitał zakładowy wzrósł do 14 mln. funtów.

Na miejscu egzotycznych lasów wyrastały wieże wiertnicze. Baśniowe gaje zamieniały się w niekończące się szeregi zbiorników naftowych.

Tak, tylko te wysokie wieże wiertnicze, lśniące zbiorniki i wielopiętrowe domy nie należały, niestety, do gospodarzy tego kraju. Rwący potok naftowej cywilizacji przynosił Persji z każdym rokiem pogłębiający się kryzys gospodarczy i nędzę ludności. Korzyści, jakie rząd perski czerpał z eksploatacji wyłudzonych przez Anglików złóż naftowych ograniczały się do satysfakcji z udziału w nazwie przedsiębiorstwa — Anglo-Persian...

Angielskie kieszenie natomiast pęczniały od złota. Coraz pewniej czuł się Anglik na ropodajnej, perskiej ziemi.

Ameryka jednak, a ściślej mówiąc Standard Oil Co., nie rezygnowało wcale z dotychczasowego prymatu w dziedzinie nafty. Nie ustające intrygi, sabotaże, zamachy piętrzyły przed angielskimi eksploatatorami poważne trudności. Poza tym budził się jeszcze jeden straszliwy wróg kolonizatorów — rosnąca wśród ludu perskiego świadomość politycznego i gospodarczego ucisku.

Jest rok 1925. Persja przeżywa gorące dni. Tron szachów zdobywa jeszcze kilka lat temu nieznany nikomu człowiek — Rhiza Khan. (Od roku 1921 Rhiza Khan zasiadał w perskim parlamencie. Przed kilkunastu laty mógł dosiadać jedynie czyszczonych przez siebie koni! Tak, albowiem nowy szach Pahlewi był w swojej młodości koniuchem). Pierwsze lata jego rządów zdawały się wskazywać, iż szach będzie ostro zwalczał ujarzmiające naród i państwo wpływy cudzoziemców. W roku 1928 parlament znosi wszelkie przywileje obcokrajowców w Persji, a rok 1932 przynosi cios, który podcinał filary naftowej potęgi Anglii i zagroził w ogóle jej dominującej dotąd pozycji w świecie. — Rząd perski wypowiedział przed upływem terminu wszystkie istniejące koncesje Anglo-Persian Co. i unieważnił firman przyznany d'Arcy'emu. Jednocześnie zawarł korzystne dla Persji umowy handlowe ze Związkiem Radzieckim, które otworzyły granicę dla ożywionej wymiany towarowej. Anglia staje wobec śmiertelnego dla jej panowania dylematu. — Brak paliwa. — Flota, samoloty, auta zostaną unieruchomione. Anglia jest bezbronna. Giełda szaleje. W ciągu kilku dni Anglo - Persian Co. traci miliony funtów szterlingów. Rozpoczyna się nowa walka, nowe intrygi, nowe zabiegi. Brytyjskie krążowniki blokują porty w Zatoce Perskiej, a światowa finansjera odmawia Persji jakiejkolwiek pomocy.

Naród perski mocno broni swych praw. Pertraktacje wobec niezdecydowanego stanowiska burżuazji nie przynoszą żadnej zasadniczej zmiany sytuacji. Jedna i druga strona musi ustąpić. Po roku targów podpisany zostaje nowy układ tym razem jednakże już o wiele mniej korzystny dla Anglii. Rząd perski roztacza ścisłą kontrolę nad eksploatacją ropy i w 20 proc. bierze udział w zyskach. Równocześnie jednak podpisana zostaje umowa z Ameryką, z którą od tej pory Anglia dzielić musi dotychczasowe koncesje d'Arcy'ego. Ameryka wciska się klinem w angielskie państwo naftowe i rozpoczyna ze swym konkurentem decydujący, śmiertelny bój. Anglia zaś ustępuje z nie zdobytych do tej pory pozycji.

Lata II wojny światowej zmuszaja konkurentów do zgody. Zapominają na pewien czas o walce między sobą i wspólnie bronić muszą interesów zagrożonych przez imperializm niemiecki.

Po zdławieniu Niemiec naftowa wojna wybucha ze zdwojoną siłą. Nienasycony imperializm amerykański chwycił za gardło wyczerpaną wojennym wysiłkiem Anglię. Naród perski ma jednak też dosyć frymarczenia jego bogactwem. Każdy funt szterling zainwestowany w irańskiej nafcie przyniósł zagranicznym kapitalistom w ciągu 50 lat 100 funtów zysku. Nie trzeba dodawać — czyim kosztem. Podczas gdy wydobycie 1 t. ropy kosztuje w USA ok. 12 dol., w Iranie koszt ten wynosi ok. 1 dol. Nic dziwnego. Robotnik irański otrzymuje za swą pracę 5—6 razy mniejsze wynagrodzenie niż robotnik amerykański. W roku 1951 rząd premiera Alego Razmara zażądał wyjazdu z Persji wszelkich cudzoziemskich doradców. W kilka miesięcy potem Razmar zostaje zamordowany. Na czele rządu staje dr Mossadik, daleki od rzeczywistych, demokratycznych reform, ale dążący do całkowitej eliminacji wpływów zagranicznych.

Wiosną 1951 roku rząd dopingowany zdecydowaną postawą narodu perskiego uchwala nacjonalizację przemysłu naftowego.

Ameryka uważa ten moment za bardzo dogodny do zagarnięcia irańskiej ropy dla siebie. „Proponuje" więc Mossadikowi wykupienie całej perskiej nafty po zniżonej cenie, za sumę 135 mln. dol. Mossadik odmawia. Nie chce on się zgodzić również na amerykański „arbitraż" w uregulowaniu naftowego sporu anglo-irańskiego. Anglia bowiem żąda nie tylko odszkodowania za znacjonalizowane aktywa koncernu, ale również — za stracone zyski aż do roku 1993. Presja amerykańska przybiera na sile. Blokada nie potrafi złamać woli narodu perskiego. Amerykanie chwycili się starego wypróbowanego środka. Gen. Zahedi obalił rząd Mossadika, a jego samego postawił przed trybunałem za... zdradę stanu.

Ameryka dopięła swego. Anglia została z Iranu wyparta. Naród perski nie pozwoli się jednak wyprzeć z roli gospodarza swego kraju. Amerykanie muszą zdać sobie sprawę, że stare metody politycznego szantażu coraz mniejsze robią wrażenie. Naród perski sam zadecyduje o losie swoim i swojej nafty. Chwilowy, podstępnie osiągnięty sukces — to jeszcze nie zwycięstwo. Walka trwa!

JAN ZIELIŃSKI

MIŁOŚĆ MARYI DO BOGA

Tintoretto — Matka Boska z Dzieciątkiem

W świadomości katolika, przywiązanego do Wiary i posiadającego jakieś, głębsze lub płytsze wykształcenie religijne, rysuje się obraz Maryi Niepokalanie Poczętej, Dziewiczej Matki Boga-Człowieka, Współodkupicielki. Znamy, przynajmniej w zasadniczych zarysach Jej niezwykłą rolę w dziele Odkupienia, staramy się tę rolę możliwie najlepiej zrozumieć. Ale popełnilibyśmy bardzo poważny błąd ograniczając w naszej świadomości czynną rolę Maryi do okresu Jej ziemskiego życia, jednym słowem traktując rolę Maryi jedynie jako fakt należący do historii, godny najwyższego podziwu, ale dziś będący już tylko przeszłością. Maryja nie jest bezczynną Królową Nieba, która jako Matka Boża odbiera tylko hołdy i z góry spogląda na uwielbiającą ją ludzkość. Jej funkcja nie należy do historii — jest w tej chwili równie aktualna jak 2 tysiące lat temu. Dzieło Zbawienia kontynuuje się i będzie się kontynuować do końca ludzkich dziejów, a dramat Odkupienia powtarza się bezkrwawo w każdej Mszy świętej. Maryja jest w tym dziele Zbawienia w chwili obecnej równie czynna jak była nią za swego ziemskiego życia, kiedy swym „fiat" sprowadzała Boga na ziemię i uczestniczyła w dziele Odkupienia jako Współodkupicielka. Jest Ona nie tylko Współodkupicielką i Niepokalaną Matką Boga, ale również co jest skutkiem tamtego, jest Matką wszystkich ludzi w porządku nadprzyrodzonym i Pośredniczką wszystkich łask. W zbawieniu i aktualnym uświęceniu każdego z nas uczestniczy Ona w sposób tak samo istotny i czynny, jak uczestniczyła w Odkupieniu.

Trzeba przyznać, że ta rola Maryi w naszym osobistym życiu wewnętrznym przedstawia się nam na ogół bardzo niewyraźnie. Mówić Maryi, że Ją podziwiamy, szukać u Niej opieki w trudnych momentach życia — to bardzo piękne, ale to o wiele za mało. Bóg powierzył Maryi w naszym życiu wewnętrznym rolę tak ważną i istotną, że na to, aby żyć w pełni życiem wiary, musimy tę rolę zrozumieć i świadomie uwzględnić. Wydaje się, że właściwym punktem wyjścia do rozważań na ten temat jest zagadnienie istoty kultu Maryi i ściśle z nim związane zagadnienie Maryi jako naszego wzoru.

Zasadniczym celem kultu chrześcijańskiego we wszystkich jego postaciach, zarówno kultu publicznego, jak i prywatnego, jest oddanie należnej czci Bogu, złożenie należnego Mu hołdu. Jedne z tych postaci kultu odnoszą się bezpośrednio do Boga. Bezpośrednim przedmiotem innych są aniołowie i święci, w których czcimy ich nadprzyrodzoną doskonałość, oddając w ten sposób pośrednio należny hołd Bogu, sprawcy wszelkiej świętości. Kult Maryi jest oczywiście z istoty swej bliższy kultowi świętych niż Boga, ale zajmuje on miejsce tak wyjątkowe, jak wyjątkowa była rola i świętość Maryi. Czcimy Ją nie tylko dlatego, że jest święta, ale przede wszystkim dlatego że jest Bogarodzicą. Z tego wynika, że kult Jej zajmuje właściwie miejsce pośrednie między czcią należną Bogu **(cultus latriae)**, a czcią należną świętym **(cultus duliae)**. Jest on nieskończenie niższy od czci Bożej, ale również w sposób niewyrażalny przewyższa cześć oddawaną zwykłym śmiertelnikom i aniołom Kościół czci Maryję przez liczne zewnętrzne formy kultu, przez nabożeństwa liturgiczne wspólne całemu Kościołowi i przez nabożeństwa ludowe, t.zw. paraliturgiczne będące przejawem lokalnego ducha pobożności. Rozpowszechnione są również w Kościele różne rodzaje maryjnego kultu prywatnego — modlitwy i praktyki przeznaczone do osobistego użytku.

Jest rzeczą niezmiernie ważną, że cześć oddawana Bogu i świętym a więc również cześć oddawana Maryi, nie może być w istocie swojej tylko formą, ustną czy obrzędowa deklaracją, ale musi być zewnętrznym wyrazem postawy wewnętrznej. Ta ostatnia musi być z kolei czymś więcej, niż intelektualnym uznaniem prawdy i wyrażonym dla niej podziwem. Powinna być ona w pełnym znaczeniu przeżyciem religijnym sięgającym w głąb naszego życia wewnętrznego i z niego płynącym. Cześć, jaką oddajemy Bogu i świętym, ma również uświęcać nas samych. Przywiązane są do niej łaski, które skutecznie otrzymujemy o tyle, o ile jesteśmy nastawieni na ich przyjęcie i współpracę z nimi. Najlepszym wyrazem tej prawdy są obrzędy liturgiczne Kościoła, tak ułożone i operujące tak dobranymi tekstami, aby dać uczestniczącym w nich wiernym możliwie najgłębsze i najbardziej autentyczne przeżycie religijne. Ma ono oczyścić nasz umysł, wolę oraz sferę uczuciową, skierować je ku Bogu, nastawiać na pełnienie woli Bożej i w ten sposób otworzyć drogę działania łaski. Kult religijny ma nie tylko wyrażać się słowami, ale przede wszystkim gotowością pełnienia woli osoby czczonej. Wola świętych jest zjednoczona z wolą Chrystusa. Pragną oni, tak samo jak i On, naszego uświęcenia i dają nam każdy w swej osobie, wzór do naśladowania. Dlatego najdoskonalszym sposobem oddawania czci świętym jest naśladowanie ich w drodze do Boga. Ale żaden ze świętych nie pragnął naszego uświęcenia z taką siłą i miłością jak Maryja i niczyj wzór nie może się równać z Jej wzorem, zarówno ze względu na jego czystość i doskonałość, jak i ze względu na jego uniwersalność.

*

NATURA ludzka odczuwa potrzebę wzorów i ideałów. Wzory osobowości i wzory postępowania ukazując nam ideał, jego wielkość i wspaniałość, aktywizują nas do jego naśladowania; jednocześnie ukazują nam, jaką drogą należy iść, aby taki ideał osiągnąć — są więc w tej mierze źródłem naszej wytrwałości i umiejętności, wychowują umysł i wolę. Podobnie rzecz ma się i w naszym życiu wewnętrznym. Tu także potrzebujemy wzorów, ideałów porywających i ideałów zachęcających do wytrwania, pokazujących drogę. Najdoskonalszym ideałem pierwszego rodzaju jest Chrystus, Bóg-Człowiek. Jest wzorem doskonałości każdego z nas i dla każdego z nas. Zadaniem każdego z nas jest zrealizowanie w jakiś indywidualny sposób, zgodny z własnym powołaniem, ideału Jego świętości. Wzory świętych są inne. Nie dorównują świętością Chrystusowi, ale posiadają dla nas ogromną wartość ludzką i konkretną. Są nam uczuciowo niezwykle bliskie, bo święci są jak każdy z nas tylko ludźmi. Ich natura była równie nieuporządkowana jak nasza, grzeszyli i podnosili się z grzechów aż do śmierci. Mimo to osiągnęli wielką świętość — pełnię człowieczeństwa w pojęciu chrześcijańskim. Dlatego są źródłem naszego optymizmu, naszej wytrwałości Wierzymy, że za ich przykładem my również potrafimy te trudności pokonać. Jednocześnie święci wskazują nam drogę, uczą nas życiowej mądrości, metody pracy samowychowawczej, której skuteczność sami na sobie wypróbowali. Wartość ich wzorów polega i na tym, że każdy z nich reprezentuje pewien określony, indywidualny i odrębny typ. Każdy z nas może znaleźć wśród nich tego, który jest mu podobny temperamentem, umysłowością, rodzajem trudności i warunków, i ten staje się najbliższym patronem, szczególnym wzorem indywidualnym, którego nie można naśladować niewolniczo, ale z którego bierze się najwięcej.

*

MARYJA jako wzór zajmuje miejsce pośrednie między Chrystusem a świętymi. Nie jest Bogiem jak Chrystus, a tylko człowiekiem jak my. Czyni Ją to, jako wzór psychologicznie nam bliższą od Chrystusa, którego doskonałość niemal nas przeraża. Wzór Maryi jest najdoskonalszym ze wzorów czysto ludzkich. Jej świętość jest najwyższa i bez skazy, ale to co czyni ten wzór szczególnie wartościowym — jego niezwykła, idealna doskonałość, czyni go zarazem w naszym mniemaniu mało dla nas przydatnym. Przecież Maryja nie była obciążona grzechem pierworodnym nigdy nie walczyła z nieporządkiem we własnej duszy, ze skażoną naturą, nigdy nie musiała się nawracać, podnosić z grzechów, nigdy Jej nie groziło zniechęcenie ani brak wiary. Może się nam wydawać, że ten brak podobieństwa wewnętrznej sytuacji Maryi i naszej czyni Jej wzór pozbawionym dla nas praktycznego znaczenia. A jednak tak nie jest. Maryja nie pokazuje nam bezpośrednio, na własnym przykładzie jak należy podnosić się z moralnego upadku, ale też nie jest ideałem „z obrazka", który ma służyć tylko do podziwiania i budzenia zachwytu, chociaż do takiego właśnie rozumienia Jej postaci mamy tendencje.

Maryja, mimo Jej niepowtarzalnej i nieogarniętej świętości, jest kimś spośród nas w sposób nieodwracalny i pełny. I Chrystus i Maryja byli pełni łaski. Ale pełnia łaski Chrystusa była bezwzględna. Jako Bóg był On zawsze pełen łaski w sposób absolutny, a więc wykluczający wszelką zmianę i wszelki rozwój. Natomiast pełnia łaski Maryi posiada tylko względny charakter. Maryja od chwili swego poczęcia wyposażona była w pełnię łask, ale nie była to granica Jej doskonałości, a dopiero początek punkt wyjścia. Maryja przez całe swe życie i tym właśnie życiem otrzymane łaski rozwijała i pomnażała, rosła w doskonałości, a przeznaczoną sobie miarę świętości osiągnęła dopiero przy końcu swego pobytu na ziemi. Mimo iż nie była obciążona grzechem pierworodnym, mogła przecież nie odpowiedzieć Bogu w sposób zupełny, mogła się nawet częściowo od Niego odwrócić. Tymczasem Maryja trwała w miłowaniu Boga, nie popełniła przez swe całe życie najmniejszego grzechu i w sposób doskonały osiągnęła przeznaczoną sobie miarę doskonałości. Środki, które nie pozwoliły Jej zgrzeszyć i doprowadziły Ją na szczyt, są rodzajowo takie same, jak stojące do naszej dyspozycji. Dlatego jest Ona dla nas realnym wzorem chrześcijańskiego życia. Ukazuje nam idealny obraz chrześcijańskiej osobowości w jej dynamicznym rozwoju, środki, które ten rozwój powodują i prawa, które nim rządzą. Ukazuje nam w idealnym wzorze tajemnicę świętości.

*

ŚWIĘTOŚĆ jest uczestnictwem w naturze Boga dokonującym się przez łaskę uświęcającą. Łaska ta jest jakby nową naturą człowieka, naturą nadprzyrodzoną, i jak każda natura, działa ona poprzez swe władze — cnoty wlane i dary Ducha Świętego, z którymi tworzy nadprzyrodzony organizm człowieka. Łaska i rozwinięte na jej podłożu cnoty, pojęte jako dyspozycje wewnętrzne, stanowią tak zwaną świętość wewnętrzną człowieka Świętość zewnętrzna — doskonałe postępowanie człowieka, jest zewnętrznym przejawem świętości wewnętrznej i jest od niej ściśle zależna. Łaska uświęcająca wraz z cnotami własnymi i darami Ducha Świętego jest siłą żywotną. Przeznaczeniem tego nadprzyrodzonego organizmu jest rozwój. Stan wolności od grzechu ciężkiego, samo posiadanie łaski uświęcającej, nie jest tu celem a tylko najniższą granicą, punktem wyjściowym. Postęp w świętości polega na rozwoju w łasce. Postępować w świętości i doskonałości chrześcijańskiej jest to samo, co rozwijać łaskę i towarzyszące jej cnoty i dary. Ostateczna miara doskonałości każdego z nas jest różna. Zależy ona od roli, jaką mamy odegrać w planach Bożych Każdy z nas otrzymuje w życiu zasób łaski wystarczający na to, aby tę przeznaczoną sobie miarę doskonałości, swój indywidualny stopień świętości ostatecznie osiągnąć. Przeznaczony sobie poziom świętości osiąga się tylko wtedy, gdy się z łaską współpracuje, gdy się ją pomnaża. Dlatego też jedni z żyjących w stanie łaski osiągają niezwykłą świętość, podczas gdy inni pozostają na poziomie mierności. Każdy uczynek moralnie dobry i wykonany w stanie łaski uświęcającej powoduje pomnożenie łaski i cnot jej towarzyszących. Ale ten wzrost następuje od razu tylko wtedy, gdy uczynek jest gorliwy, gdy wkładamy w niego całą energię nadprzyrodzoną jaką dysponujemy, całą miłość do Boga na jaką nas stać, całą płynącą z miłości do Boga staranność i umiejętność, aby to, co robimy, wykonać jak najlepiej, niezależnie od tego, czy jest to modlitwa, praca, czy rozrywka. Wtedy Bóg zwiększa posiadane przez nas łaski i cnoty, które przenoszą nas na wyższy stopień świętości i pozwalają następny czyn wykonać z jeszcze większą gorliwością. Życie wewnętrzne tych, którzy trwając w stanie łaski starają się o to tylko, aby Boga ciężko nie obrazić, ale poza tym o Nim nie pamiętają, jest w sensie nadprzyrodzonym wegetacją, anomalią wyjątkową w świecie natury, ale niestety bardzo częstą w stosunkach między ludźmi a Bogiem. Ci natomiast, którzy starają się całe swe życie odnosić do Boga z gorliwością, na jaką ich tylko w danym momencie stać, którzy dążą do tego, aby ostateczną intencją wszystkich ich czynów był Bóg — Jego chwała i Jego wola, ci osiągają szczyty świętości.

Maryja swą niezwykłą świętość zawdzięcza nie tylko otrzymanej łasce, ale i najdoskonalszej, jaką zna ludzkość, współpracy z łaską. Jej świętość nie zaznała nigdy przeszkody ani ze strony grzechu, ani ze strony zbyt małej gorliwości. Maryja reprezentuje nie tylko pełnię łaski, ale i pełnię poddania się łasce, poddanie zupełne. Bóg był Jej najwyższą miłością, celem zarówno jej całego życia, jak i najdrobniejszego uczynku. Był Jej najwyższym, najsilniejszym i najbardziej dla Niej atrakcyjnym zainteresowaniem. Dlatego nigdy nie zgrzeszyła jak Ewa i nawet nigdy nie popełniła najdrobniejszej niedoskonałości, bo nigdy nie dała się zwieść żadnej wartości pozornej, nigdy żadne inne zainteresowanie nie wyparło w Jej świadomości Boga z należnego Mu miejsca.

Jeśli teraz przypomimy sobie, że życie Maryi upływało w takich samych warunkach, jak każde inne ludzkie życie, że wolność od grzechu pierworodnego nie usuwała Jej spod takich jego skutków, jak cierpienia fizyczne i moralne czy życiowe kłopoty, że Jej życie wewnętrzne było z istoty swej takie same jak życie każdego ochrzczonego człowieka — wówczas może Maryja stanie się dla nas wzorem bardziej realnym i bliskim, który wymaga nie tylko czci, ale i naśladowania.

A. NICOLAS — KS. E. DĄBROWSKI

ŻYCIE MARYI MATKI BOŻEJ

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax" Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa 1-8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3 na koszt przesyłki.

Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

TADEUSZ MYŚLIK

O KSIĄŻCE, KTÓRA JEST BUNTEM

TWÓRCZOŚĆ Archibalda Josepha Cronina od dawna jest przedmiotem sporów i dyskusji, zmiennych sądów i opinii. Ostatnio pojawiła się na półkach księgarskich, wznowiona tym razem przez „PAX" książka Cronina: „Gwiazdy patrzą na nas".

Ta z trzech — obok „Cytadeli" i „Kluczy królestwa" — najlepsza powieść Cronina w istocie jest przede wszystkim buntem. Buntem szlachetnej natury pisarza, buntem uczciwego człowieka przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu wyrażającemu się w nędzy robotniczych rodzin, w bezrobociu czy w zastraszających warunkach mieszkaniowych i sanitarnych.

Książka ta jest również oskarżeniem. Oskarżeniem wygodnego, pełnego zewnętrznego blichtru i ogłady świata mieszczańskiego, świata rentierów, bogatych snobów i wytwornych dam, których toalety kosztują tyle pieniędzy, ile wynosi nieraz roczny zarobek szkockiego górnika, który dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności znalazł pracę. Książka ta jest oskarżeniem świata, który wymazał z pamięci istnienie krzywdy społecznej, ponieważ bardzo wygodnie jest zapomnieć o tym, że wyrządzamy komuś krzywdę. Cronin dokonuje wyłomu w tym pieczołowicie wznoszonym przez burżujów murze milczenia.

Toteż „Gwiazdy patrzą na nas" są również protestem. Protestem przeciwko systemowi, przeciwko złu, które panoszy się powszechnie w opisywanej przez Cronina rzeczywistości, przeciwko złu, które sankcjonuje drapieżną eksploatację kopalni przez kapitalistę Barassa lekceważącego całkowicie życie robotników, które umożliwia rzeźnikowi Ramage'owi dostarczenie chorym do szpitala zepsutego mięsa. Cronin trafnie odkrył mechanikę i siłę napędową tego zła. Odkrył ją w istocie ustroju kapitalistycznego.

Bezwzględny, demaskatorski krytycyzm Cronina jest wynikiem jego własnych przeżyć i gorzkich obserwacji. „Gwiazdy patrzą na nas" nie są bowiem jeszcze jednym przyczynkiem do licznych i nieczytanych tomów sprawozdań mieszczańskich socjologów. Nie pisał tej książki ktoś z beznamiętnych naukowców, którzy — hołdując zasadzie „splendid isolation" — obserwują i opisują krzywdę społeczną robotnika równie obojętnie, jak np. proces przemiany materii u dżdżownicy.

Posługując się swym demaskatorskim krytycyzmem, przedstawia Cronin kulisy brudnych karier, oszukańczych zysków i spekulacji wojennych, bezradność niedostatecznie uświadomionych robotników wobec zorganizowanej akcji kapitalistów oraz skorumpowanej góry związkowej, nie ziszczone marzenia ludzi prostych, nieludzki wyzysk i brak jakichkolwiek, chociażby najbardziej elementarnych warunków pracy, czy wreszcie — śmiesznie małą, nie stojącą w żadnym stosunku do potrzeb — kłapkę bezpieczeństwa społecznego w postaci... „dobroczynności publicznej".

Prawidłowo przedstawił Cronin w „Gwiazdach" uwarunkowania kapitalisty, który chcąc się utrzymać na powierzchni życia, chcąc po prostu pozostać kapitalistą — nie może pozwolić sobie na żaden kompromis. Całkowite fiasko planów Artura Barassa, które jest dowodem prawdziwości powyższej tezy, jest zarazem trzeźwą realistyczną krytyką społecznego solidaryzmu.

Ale nie tylko sprawy gospodarcze są w omawianej książce przedmiotem krytyki. Wyszydza Cronin również formalną demokrację brytyjską i pleśniejący tradycjonalizm. Pomimo, że szyderstwo to jest na pewno również bolesne dla niego samego jako Brytyjczyka — nie waha się on nawet przed tak drastycznymi przykładami, jak scena sesji urzędowego śledztwa w sprawie katastrofy kopalnianej, obrad rady miejskiej czy wyborów.

Historia skazania i osadzenia w więzieniu Artura Barassa za uchylanie się od służby wojskowej obnaża bezsilność pacyfizmu w jego najbardziej bezradnej formie, w formie postawy indywidualnej.

I wreszcie jeszcze jedna sprawa. Pouczającą lekcją dla naszych rodzimych entuzjastów „trzeciej siły" i „angielskiego" czyli „demokratycznego" socjalizmu powinna być przeprowadzona w tej książce ocena Partii Pracy. Dobrze jest przy tym pamiętać, że Cronin jest obywatelem brytyjskim, urodzonym w Cardross i wcale nie jest komunistą.

A oto galeria działaczy Partii Pracy: cyniczny Bebbington — „socjalistyczny deputowany", który zasiada równocześnie w zarządzie trustu „Amalgamated Collieries" — działacz „robotniczy" dla pieniędzy i kariery życiowej, a może nawet — czego autor nie dopowiada — z zamiarem rozbicia Partii. Innym przykładem jest ugodowiec, oportunista Dudgeon, który ideologicznie konsekwentne stanowisko lewicy partyjnej uważa za „polityczne samobójstwo". Szalbierstwo, którego jaskrawym przykładem jest niedopatrzenie obietnic wyborczych, skorumpowanie góry partyjnej, zbiurokratyzowanie aparatu partyjnego, czy wreszcie zdrada rządu Ramsay'a Mac Donalda, który wyrzekał się nacjonalizacji kopalń — oto obraz przedstawiony nam przez Cronina. A wiemy wszyscy przecież, że Cronin obraz ten przedstawił w książce z autopsji.

Starałem się wykazać powyżej odwagę i pasję Cronina w demaskowaniu zła społecznego, którego niemym żyrantem autor „Gwiazd" nie chciał być w żadnym wypadku. Wobec zła tego Cronin jest jednak bezradny. Dwie są przyczyny tej bezradności: pierwszą jest niewątpliwie fakt, że na wiele spraw Cronin w ogóle nie znajduje rozwiązania. Konkretnie — w wypadku partii, na pewno zdawał sobie Cronin sprawę, że taka partia nie jest w stanie niczego dokonać, ale nie widział on żadnych innych możliwości, toteż każe swemu bohaterowi, po przegranej w wyborach do parlamentu — powrócić do kopalni. Drugą przyczyną jest to, że te nieliczne rady, które znajduje — również okazują się bezskuteczne. Z tego wypływa tragiczny, przytłaczający wszystko głęboki pesymizm. Podejmijmy próbę rozszyfrowania istotnego powodu takiego stanu rzeczy.

Wydaje mi się, że sam Cronin nie był zdolny wysunąć konsekwentnych wniosków społeczno-politycznych. Nie potrafił przezwyciężyć błędu społecznego ewolucjonizmu. Bez zmiany istoty ustroju nie można niczego trwale zmienić na lepsze, bo sama ustawa górnicza, samo tylko upaństwowienie kopalń, którego szermierzem był Cronin — nie rozwiązuje całości problemu wyzysku i walki klasowej.

Odejdźmy na chwilę od bezpośredniej problematyki książki i przyjrzyjmy się tym razem już nie powieściowemu, ale historycznemu rozwojowi wydarzeń. Partia Pracy po zwycięstwie w wyborach w r. 1945 przystąpiła do upaństwowienia szeregu kluczowych gałęzi gospodarczych. Upaństwowiono górnictwo węglowe, przemysł elektroenergetyczny, koleje, lotnictwo cywilne oraz Bank Angielski. Niezależnie od tego utrzymano i rozszerzono system państwowych zarządzeń kontrolnych z okresu wojny. Kontrola ta obejmowała skartelizowany przemysł elektrotechniczny, radio, pocztę, urządzenia portowe, rynek kapitałowy, przydziały surowców, handel zagraniczny oraz wiele innych dziedzin. Wszystko to miało właśnie prowadzić do „demokratycznego socjalizmu" i do „demokratycznego planowania". Pozornie mogłoby się wydawać, że istnieją wszystkie potrzebne po temu przesłanki.

Rzeczywistość wyglądała jednak nieco inaczej. W latach 1945 — 50 wyglądała ona bardzo podobnie do rzeczywistości „socjalistycznych" rządów przedstawionych w niniejszej książce. Nie rozbito ani nie przeprowadzono demokratyzacji starego aparatu państwowego.

Wiele dziedzin gospodarki nie zostało upaństwowionych. Byłym akcjonariuszom przejętych na własność państwa przedsiębiorstw przyznano astronomicznie wysokie spłaty w wysokości blisko 3 miliardów funtów z oprocentowaniem rocznym w sumie około 100 milionów funtów. Kierownictwo upaństwowionych zakładów powierzono (z małymi wyjątkami) starym, kapitalistycznym dyrektorom. Nic dziwnego więc, że niewiele się zmieniło w mechanice wyzysku. W tym czasie, gdy np. koncern zbrojeniowy „Vickersa" w latach rządów labourzystowskich podwoił swoje zyski, ciężar podatków przesunął się jeszcze bardziej na niekorzyść robotników.

Wszyscy wiemy również, co nastąpiło dalej. W kolejnych wyborach — zupełnie podobnie jak w powieści Cronina — w wyniku nadużycia zaufania ludności i utraty tego zaufania — Partia Pracy przegrała. Zwyciężyła partia konserwatywna, która jako jeden z naczelnych postulatów przeforsowała w Parlamencie reprywatyzację upaństwowionych poprzednio przez labourzystów przedsiębiorstw. Podczas gdy gospodarka brytyjska przeżywa poważne wstrząsy, wydatkuje się zupełnie niepotrzebnie z budżetu narodowego olbrzymie kwoty na aparat administracyjny, który reprywatyzację tę przeprowadza. Wszystko to razem wzięte wygląda trochę na zabawę w gospodarowanie — a jest w istocie tylko i wyłącznie polityczną reakcją, sposobem utrzymania się jak najdłużej na szczycie społecznej piramidy.

Jest jasne, że książka Cronina jest słuszna jedynie w aspekcie krytyczno-realistycznym. Jednak bogaty materiał faktów nagromadzonych przez Cronina, faktów, które oskarżają stary porządek społeczny, jest dla nas w naszej walce o ustrój socjalistyczny, o przemianę mentalności społecznej ludzi myślących kategoriami konserwatyzmu lub zagubionych na rozdrożach utopii — cennym sojusznikiem.

Pozycje książkowe, które ukazały się do tej pory, w dostatecznej mierze świadczą o tym, że Wydawnictwo „Pax" nie chce w żadnym wypadku stać się instytucją dostarczającą beletrystyki znudzonym klerkom. Książki „Pax'u" tak jak i prasa są również narzędziem walki, ostrej walki ideologicznej. Są obok działalności społeczno-politycznej — drugim frontem katolickiego ruchu społecznie-postępowego.

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

Artykuł dyskusyjny

O DZIAŁALNOŚCI KSIĘDZA SPOŁECZNIE POSTĘPOWEGO

Zamieszczony poniżej artykuł jest drugim z kolei (patrz „Dziś i Jutro" Nr 18 z dn. 2 maja 1954 — art. Wojciecha Kętrzyńskiego — „Kapłan społecznie postępowy") artykułem, w którym autor porusza bardzo istotne zagadnienia duszpasterza, sprawującego swą misję kapłańsko - wychowawczą w naszych warunkach społecznych. Redakcja sądząc, że myśli autora wzbudzą zaintersowanie nie tylko wśród duchownych, ale także i wśród świeckich katolików, opatrzyła go nadtytułem „artykuł dyskusyjny" i zaprasza jednocześnie naszych czytelników do wypowiedzi, które pogłębiłyby omawiany problem.

REDAKCJA

CHODZI nam o wypracowanie właściwego stylu życia i działania księdza, który szerzy wokół siebie idee społecznego postępu. O ile przez pierwszy okres trzeba było walczyć o to, by w ogóle idee społecznie postępowe miały prawo obywatelstwa w środowiskach katolickich, to dziś coraz bardziej odczuwamy potrzebę, by skonkretyzowało się oblicze tych, którzy je głoszą.

Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że to sprawa niełatwa. O ile prostsze zagadnienie dla działaczy świeckich. I oni odczuwają napór środowisk reakcyjnych, ich sposobów myślenia i działania. Osoba świecka jest jednak z natury rzeczy bardziej niezależna, łatwiej tworzy własne środowisko, łatwiej odcina się od wpływów niepożądanych. Trudniej księżom, którzy przecież są nieuniknienie związani ze swoim własnym, duchownym środowiskiem, a w nim ze swym najbliższym otoczeniem, ze swą własną, lokalną hierarchią.

Dla tego duchownego otoczenia — pojawienie się idei społecznie postępowych w kołach katolickich musiało, z konieczności rzeczy, być zaskakującą nowością. Nie było oczywiście tak źle, by wśród duchowieństwa polskiego nie było, przed wojną i dawniej, tendencji społecznie postępowych. Rzecz oczywista, były: albo wyrastały oddolnie, spontanicznie i zazwyczaj wycinkowo — wówczas ksiądz taki uchodził za „społecznika", czasem trochę za dziwaka, który całą swą energię poświęca biednym chłopom lub bezrobotnym, ale na ogół nie uświadamiano sobie istnienia jakiegoś całościowego i radykalnego programu społecznego; albo też ksiądz zyskiwał sobie niebezpieczny przymiotnik „rewolucjonisty" i wówczas stawał się automatycznie podejrzany, izolowany, a nieraz potępiony. Po takim szybko i skwapliwie zacierano wokół wszelkie ślady.

Z tego stanu rzeczy trudno robić komukolwiek zarzut „ad personam". Duchowieństwo polskie wychowywało się przeważnie w atmosferze konserwatyzmu, atmosferze szowinistycznego zaślepienia w stosunku do wszystkiego, co się działo za naszymi wschodnimi granicami. Politycznymi wpływami wśród duchowieństwa polskiego w okresie międzywojennym dzieliła się endecja z chrześcijańską demokracją — obie zgodne w swej społecznej ślepocie. Sanacja usiłowała sobie zapewnić wpływ na poszczególnych biskupów rezygnując ze zdobycia mas duchowieństwa, mas nieufnych w stosunku do ludzi, którzy cieszyli się renomą masonów. Natomiast żywe były tradycje patriotyczne, zresztą różne w nasileniu, w zależności od diecezji. Historia ścierania się wpływów patriotycznych i trój-lojalizmu wśród kleru polskiego w okresie zaborów jest jeszcze właściwie do napisania.

Społeczność księży należy do tego typu społeczności patriarchalnych, w których autorytet wiąże się ściśle z wiekiem i urzędem. Opinię urabiają więc księża starsi, wyróżnieni godnościami kościelnymi, na wyższych stanowiskach, w drugiej zaś kolejności ci — ci spośród młodszych, których biskup miejscowy wyróżnił swym zaufaniem, powołując na wyższe stanowisko kościelne. Ci decydują zwykle o nastrojach politycznych swego otoczenia. W dotychczasowej praktyce (która dzięki Bogu, zaczyna się zmieniać) w tych kołach panowały z rzadkimi tylko wyjątkami nastroje wyraźnie reakcyjne. Masowe oddziaływanie ruchu społecznie postępowego wśród duchowieństwa powoli ale skutecznie izoluje te ośrodki reakcji.

Chciałbym spróbować szkicowo tu przeanalizować pewne, najbardziej typowe problemy, jakie nieuniknienie napotyka ksiądz społecznie postępowy ujawniając swoje poglądy wobec swego duchownego otoczenia.

PROBLEM POSŁUSZEŃSTWA

KSIĄDZ jest obowiązany do posłuszeństwa wobec swej hierarchii, a w szczególności w stosunku do swego biskupa. W założeniu osobiste poglądy społeczne czy polityczne nie są tu brane w rachubę. Gdy jednak ksiądz chce wykazać się działalnością społeczną, to, rzecz oczywista, w grę może łatwo wejść problem należnego posłuszeństwa autorytetowi swego przełożonego. Jedni biskupi podchodzą do tego zagadnienia, rzec można, patriarchalnie. Znaczy to, że zakładają, iż powaga ich urzędu, doświadczenie własne i ich doradców jest gwarancją słuszności ich osobistych poglądów w sprawach publicznych. Ksiądz przeto, który wyraża inne poglądy, jest traktowany jako pyszałek, zarozumialec, który śmie przeciwstawiać własne „ja" autorytetowi władzy. Stanowisko bez wątpienia ciasne i nierozsądne, iluż jednak autokratów, bezwzględnych i surowych tak dla siebie, jak i dla otoczenia, rządziło w Kościele! Jest wszakże i inne stanowisko, znacznie rozsądniejsze, choć też nietolerancyjne: wywodzi się ono z założenia, że nie powinno być w diecezji różnic poglądów. Biskup przeto, bynajmniej nie z przekonania o własnej nieomylności w tej dziedzinie, lecz ze względu na dyscyplinę wśród duchowieństwa broni zasady, iż tylko jedna linia postępowania w sprawach publicznych jest dopuszczalna — jego własna.

W jednym i w drugim wypadku ksiądz społecznie postępowy łatwo może się znaleźć w stanie faktycznego konfliktu z autorytetem swej władzy duchownej, o ile ta przeciwstawi się jego poglądom i jego działalności. Praktyka wykazuje, że — poza wyjątkowymi wypadkami — nie spotykamy się dziś z tego rodzaju jawnymi konfliktami, które w poprzednich latach zdarzały się, niestety, częściej. Niemniej jednak — nie potrzeba formalnego zakazu, by księdzu dać poznać, iż jego poglądy budzą reprobatę czy choćby tylko zastrzeżenia władzy duchownej.

Na taki stan rzeczy musimy być przygotowani. Wynika on z wielu nieporozumień co do treści postawy społecznie postępowej, z braku zaufania do samodzielności myślowej księży, czasem — ze zbyt sztywnego przestarzałego pojęcia autorytetu i prestiżu władzy.

Cóż ma czynić ów ksiądz? Wydaje się, że przede wszystkim — nie dać się ponieść nieraz słusznie urażonej osobistej dumie. Wykazać swym całym postępowaniem, że nie jest bynajmniej warchołem, że nie kieruje się zarozumiałością, lecz posiada w pełni „sensus Ecclesiae", że szanuje i uznaje autorytet hierarchii. Z drugiej strony jednak — nie wolno mu ustępować. Ma on obowiązek wytłumaczyć się ze swej postawy, walczyć o przekonanie swych zwierzchników, a jeśli się to nie da — to co najmniej zdobyć szacunek dla postawy własnej.

Jesteśmy często świadkami zupełnie odwrotnego postępowania. Zaatakowany — przyjmuje postawę obrażonego, zniechęca do siebie swych przełożonych, różnica poglądów przeradza się szybko w konflikt osobisty, w którym wzgląd na autorytet hierarchii nie jest już w ogóle brany w rachubę.

PROBLEM IZOLACJI

JAK stwierdziliśmy — na ogół opinią duchowieństwa rządzą koła wyraźne sympatyzujące z postawą dogłębnie konserwatywną. Ksiądz społecznie postępowy ma więc do przezwyciężenia nie tylko ewentualne zastrzeżenia swego biskupa, ale, co trudniejsze, nastawienie miejscowych „autorytetów" i ich kręgu wpływów. Zazwyczaj też różnice poglądów z biskupem nie wyrażają się w bezpośrednim konflikcie, lecz drogą pośrednią — poprzez nacisk opinii — zorganizowanej przez reakcyjną część duchowieństwa.

Łatwo ulec w tej nierównej walce. My, świeccy, zwykle nie wiemy, jak trudno przełamać taką wrogą atmosferę organizowaną przez grupę ludzi wpływowych i doświadczonych przeciw księdzu, nieraz młodemu i pozbawionemu dostatecznego wyrobienia w tego rodzaju walce podjazdowej.

Olbrzymia większość biernego, niezdecydowanego w poglądach społecznych duchowieństwa, oczywiście ulega, tej presji. Jakże często zdarzają się wypadki indywidualnego, osobistego wyrażania szczerej sympatii i podziwu dla walczącego o swą postawę społeczną księdza, przy jednoczesnym odcinaniu się odeń przy okazji rozmów ze zgorszoną starszyzną, przy okazji dekanalnych czy odpustowych spotkań!

I tu znowu powracamy do kluczowego zagadnienia umiejętności dobrze uargumentowanej obrony własnej postawy i własnych przekonań. Trzeba po prostu mieć odwagę jawnego przeciwstawienia się podobnym metodom ukrytego terroru, trzeba umieć jasno swą postawę uzasadnić w czasie zjadliwych polemik pełnych osobistych przycinków.

Osberwujemy, niestety, czasami zjawisko wręcz odwrotne. Pod naciskiem natarcia reakcyjnej opinii — niektórzy księża społecznie postępowi rezygnują z wszelkich prób oddziaływania na innych księży, unikają dyskusji i konfrontacji poglądów. W wielu wypadkach rolę ideologicznej kontrofensywy odstępują katolikom świeckim, których swoboda postępowania jest bez wątpienia większa, ale bezpośredni kontakt z duchowieństwem — znacznie trudniejszy.

Zdajemy sobie dobrze sprawę z wagi, w skali Kościoła i w skali społecznej, z roli duchowieństwa w Polsce. W rozwoju stosunków między Kościołem a Państwem niezwykle dużo zależy od dojrzałości społecznej ogółu księży. Walka z wpływami reakcyjnymi musi być wygrana. W tej walce, prowadzonej wspólnie z działaczami świeckimi — rola księdza społecznie postępowego będzie stale wzrastać. Chodzi o to, by potrafił on jej sprostać swym wyrobieniem wewnętrznym i przygotowaniem intelektualnym.

PROBLEM AUTORYTETU U WIERNYCH

PROPAGANDA reakcyjna wszelkimi dostępnymi środkami zwalcza ruch społecznie postępowy wśród katolików polskich, nie cofa się przy tym nawet wobec najbardziej nieetycznych. Do ulubionych, należy oszczerstwo i jego roznosiciel — plotka. Wiemy dobrze, ile kubłów najobrzydliwszych pomyj wylewa nieustannie zachodnia propaganda radiowa na katolickich działaczy społecznie postępowych, a zwłaszcza na księży.

Ksiądz jest takim samym człowiekiem jak każdy inny. Jak każdy inny ma swoje słabości i przywary. Jest dowodem wielkiej mądrości Kościoła, iż umiał stan kapłański otoczyć takim szacunkiem i takimi obyczajami, że na pierwszy plan wysuwa się zawsze godność kapłaństwa, a nie ludzkie ułomności. Reakcja z satysfakcją odwraca te zasady. Gdy chodzi o księdza społecznie postępowego — jego kapłaństwo nigdy nie będzie uszanowane, lecz najdrobniejsze potknięcie, prawdziwe czy urojone, wyolbrzymione i rzucone na pastwę powszechnej plotki. Chodzi tu o zniszczenie autorytetu działacza społecznie postępowego.

Oczywistą odpowiedzią jest tu walka o najwyższy poziom moralny księdza, który chce być społecznie postępowy. Być może, że nie zawsze umieliśmy położyć dostateczny nacisk na konieczność walki o ten właśnie poziom. Z drugiej jednak strony, by nie popadać w kompleks niższości, musimy jasno uświadamiać sobie (nic nie zmniejszając swych wymogów), że poziom księży społecznie postępowych odzwierciedla po prostu przeciętny poziom duchowieństwa w Polsce. Ruch nasz nie może sobie rościć pretensji skupiania wokół siebie tylko świętych, obdarzonych bohaterskimi cnotami.

Byłoby niedopuszczalną obrzydliwością, odpowiadać tą samą bronią i ujawniać z kolei słabości prowodyrów reakcji wśród duchowieństwa. Sądzimy jednak, że nasza walka o wyższy poziom osobisty księży społecznie postępowych musi wiązać się ściśle z walką o powszechne uszanowanie autorytetu stanu kapłańskiego, mimo zachodzących w nim różnic społecznych i politycznych. To ważki temat do rozmów wśród duchowieństwa.

Ta kampania obmowy nie ułatwia, rzecz oczywista, utrzymania na właściwym poziomie autorytetu księdza społecznie postępowego wśród swych wiernych. Jest niemniej rzeczą bardzo ważną, by i tu utwierdzać autorytet naszego ruchu. Doświadczenie wskazuje, że ksiądz społecznie postępowy, o ile umie właściwie łączyć swe obowiązki duszpasterskie ze społecznymi, zyskuje u wiernych jeszcze większy mir, niż miał uprzednio. Trzeba tylko umieć przełamać okres pierwszego kryzysu.

Istnieje specyficzne środowisko świeckie, otaczające księdza zwłaszcza na parafii. Środowisko odziedziczone z przeszłości, graniczące najczęściej z tanią i ckliwą dewocją. Bez wątpienia — środowisko to, bynajmniej nie skłonne do przyjmowania postawy uspołecznionej, potrafi nie tylko wywierać potężny nacisk na księdza, ale umie również formować opinię wokół siebie, która następnie uchodzi za tak zwaną „powszechną opinię katolików".

Spotkałem w swej praktyce księży, którzy swą bierność społeczną tym właśnie naciskiem „powszechnej opinii" tłumaczyli. „Cóż ja zrobię dobrego — zapytywał taki ksiądz — jeśli się ode mnie parafianie odwrócą, jeśli stracę ich zaufanie i posłuch?"

Przede wszystkim — nie wolno się dać terroryzować taką „powszechną opinią" zasugerowaną przez wąskie, choć wpływowe, obskuranckie środowisko. Po drugie — nie wolno nie doceniać autorytetu osobistego kapłana, nawet wówczas, gdy występuje on pod prąd urobionej opinii swego otoczenia. Chodzi tylko o to, by ksiądz chciał i umiał w należyty i poważny sposób rzucić na szalę swój wpływ osobisty i swój autorytet. Wreszcie — czasami mam takie wrażenie, jak gdyby niejeden ksiądz zapominał o przyjętych na siebie obowiązkach wychowawczych. Do czegóż by się sprowadziła jego rola wychowawcza wobec jego własnej owczarni, gdyby miał zrezygnować ze stawiania słusznych postulatów dlatego tylko, iż mogą być niepopularne. Wydaje mi się, że właśnie na polu społecznym nasza, katolicka rola wychowawcza dlatego od dłuższego czasu tak słabe odnosi rezultaty, że dajemy się kierować konserwatywną opinią i występujemy na tym odcinku bez dostatecznej mocy wewnętrznej i autorytetu. A przecież każde z nowoczesnych zagadnień społecznych ma swą głęboką wymowę moralną, jest przetłumaczalne na język problematyki miłości bliźniego, na język cnót chrześcijańskich. Służąc naszemu społeczeństwu i jego współczesnym przemianom, o ileż bardziej świeżo i głęboko możemy mówić o Ewangelii!

OBOWIĄZKI SPOŁECZNE A OBOWIĄZKI KAPŁAŃSKIE.

ROZWAŻANIA powyższe prowadzą nas prosto do ostatniego z problemów, które chciałem zasygnalizować.

Bywają wypadki, że jakiś ksiądz pochłonięty swą działalnością społeczną, zaniedbuje swe obowiązki kapłańskie. Sytuacja, rzecz oczywista, niedopuszczalna, gdyż służba kapłańska jest pierwszym obowiązkiem przed wszystkimi innymi. Zastanówmy się jednak nad tym, czy we współczesnym świecie ksiądz może rzeczywiście wypełniać dobrze swe zadania duszpasterskie, czy na dłuższą metę może się rzeczywiście cieszyć posłuchem, jeśli nie będzie rozumiał i nie będzie czynnie działał w życiu społecznym?

Reakcyjny i nieuspołeczniony ksiądz tylko tak długo będzie się cieszył wzięciem, jak długo jego otoczenie jest również reakcyjne. Zastanówmy się jednak, że życie idzie naprzód, że młodzież chodzi do szkół, idzie na wyższe uczelnie, zdobywa zawody, buduje naszą przyszłość, że i starsi przekonują się do nowych zdobyczy technicznych i nowych osiągnięć społecznych. Nieuspołeczniony ksiądz pewnego dnia stwierdzi z przerażeniem, że jego pojęcia, jego mentalność, jego wizja świata odpowiadać będzie coraz to mniejszej, ciaśniejszej grupce ludzi. Inni, może nie mniej religijni, będą się od niego powoli oddalać, gdyż jego słowa i sprawowane przez niego obrzędy będą się im wydawać puste, bez treści.

Jest fałszem, że uspołecznienie budzi na ogół zastrzeżenia u wiernych. Jeśli jest prawdziwe, szczere i skuteczne — przeciwnie — budzi zapał i szczerą życzliwość otoczenia. Mamy na to szereg konkretnych przykładów, jak żywa i mądra aktywność księdza, pomagającego swym wiernym w nawiązaniu kontaktu z naszym nowym życiem, budowała jeszcze mocniejsze więzi między nim, jako kapłanem, a jego parafianami.

Chodzi tylko o zastosowanie właściwej miary, jak we wszystkim. Stwierdzam jednak, że jeśli parafianie odczuwają na sobie dobre skutki społecznie postępowej działalności swego księdza — nie mają mu bynajmniej za złe, jego zapatrywań, ani jego wyjazdów, ani jego artykułów. Przeciwnie, są z tego dumni i widzą w tym logiczny związek z tym, co się w ich własnych oczach realizuje, na ich własnym odcinku.

Lista poruszonych przeze mnie problemów nie wyczerpuje, rzecz oczywista, trudności, na jakie może napotkać ksiądz podejmujący uczciwie swą społeczną działalność. Wyciągane przeze mnie wnioski tym bardziej, oczywiście, nie wyczerpują środków zaradczych. Są po prostu zbiorem własnych obserwacji, którymi chcę się podzielić po to, by skonfrontować je z obserwacjami i doświadczeniami innych.

Jestem jednak przekonany, że o przyszłości naszych wysiłków katolickich w Polsce decydować będzie rzetelność i skuteczność naszej pracy ideowej, a nie tylko gorliwość religijna. Warto więc chyba nad tymi zagadnieniami zastanowić się i podyskutować.

Od kiedy Ojczyzna nasza nazywa się Polską?

(Dokończenie ze str. 1)

wy zachód, granice Rusi zetknęły się wówczas prawdopodobnie z granicami rządów czeskich w ziemi krakowskiej. Państwo piastowskie zostało zmuszone do zwrócenia się w innym kierunku. Właśnie wówczas, na samym schyłku panowania Mieszka I, następuje, prawdopodobnie w r. 990, zajęcie Śląska i prawdopodobnie zajęcie ziemi krakowskiej. Kształtuje się państwo piastowskie w jego znanej geograficznie postaci, tak bardzo zbliżonej do współczesnego obrazu państwowości polskiej. Ale to państwo, które nazywają już po swojemu sąsiedzi wschodni, nie ma jeszcze ogólnie przyjętej własnej nazwy. Sąsiedzi wschodni nazywają Polaków, jak to przed chwilą stwierdziliśmy, Lachami, przy czym nazwa ta ma tendencje zwężające, tzn. od nazwy oznaczającej ogół szczepów zachodnio-słowiańskich, powoli redukuje się do nazwy państwowego związku plemion polskich. Nic w tym dziwnego, skoro ten państwowy związek plemion polskich był najbardziej w oczy bijącą realnością w całym ówczesnym świecie zachodnio - słowiańskim. Tak ta nazwa występuje w dyskutowanym przed chwilą przez nas zapisie, mówiącym o zdarzeniach pod r. 981.

*

RODZIMA nazwa Polska kształtuje się bardzo powoli, kształtuje się przy tym oddolnie. O ile bowiem nazwa ruska powstała, jak to podnieśliśmy, w drodze redukcji ogólno - szczepowej nazwy Słowian zachodnich do grupy plemion polskich, o tyle nazwa Polska wyrosła z drobnej nazwy plemiennej, kształtującej się na obszarze Polski środkowej.

Na początku tego artykułu stwierdziliśmy, że nie ma podstawy, ażeby pierwsze ślady tej nazwy przesunąć w drugi wiek p.n. Chr. Wiąże się ta nazwa ze środowiskiem gnieźnieńskim, którego ślady archeologiczne spotykamy

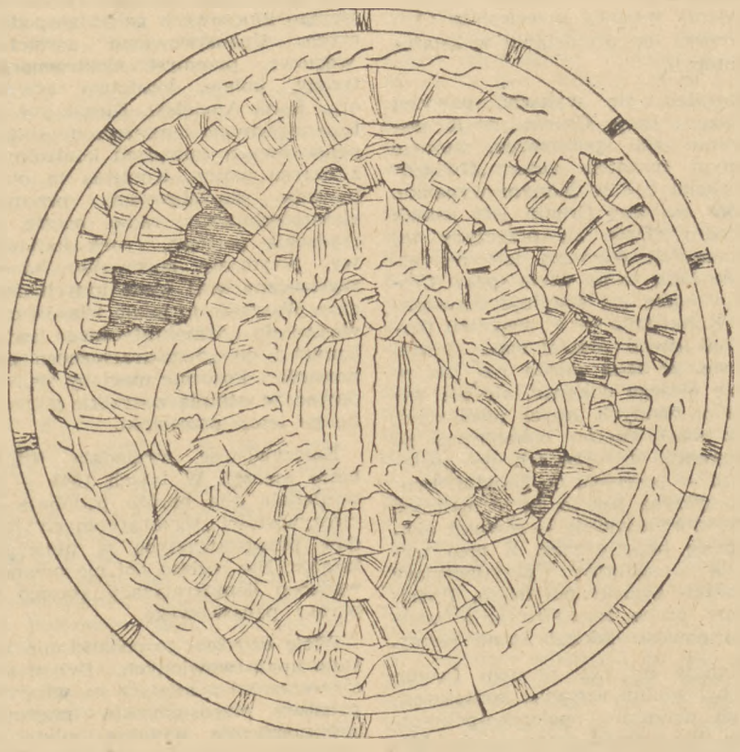

Misa brązowa z Wierzchlasu w pow. wieluńskim.

co prawda od końca VIII wieku p.n. Chr., ale które terminologicznie da znać o sobie dopiero w dwieście lat potem. Był to młody postępowy, jak byśmy dziś powiedzieli, szybko feudalizujący się ośrodek społeczno - polityczny, który zwolna swoją nazwę narzucał nowo kształtującej się całości.

Zwłaszcza gdy u samego schyłku X wieku sporządzano opis granic, znany jako akt tzw. *Dagome iudex*, nie wiedziano, jak to państwo nazwać. Opis zaczynał się od Szczecina i na Szczecinie się kończył; prawdopodobnie dlatego nazwano państwo przyległościami Szczecina, ale nie dlatego, by Polska była przyległością Szczecina, lecz dlatego, że nie wiedziano, jak nazwać tę nową całość. Było to po zupełnie świeżym podboju Śląska i ziemi krakowskiej, odjętych Czechom. Nazwa Polska była już zapewne w użyciu, ale jako nazwa małego terytorium plemiennego. Użycie jej jako nazwy państwa, mogło być uważane podówczas — tym bardziej w odniesieniu do aktu o charakterze międzynarodowym — za niestosowne. Ale i w innych tekstach źródłowych ta nazwa formuje się bardzo powoli. Dość powiedzieć, że u Ibrahima ibn Jakuba, który pisze w siódmym dziesiątku X wieku, Mieszko jest tylko królem północy. A kiedy Otto III przybył w roku tysiącznym do Gniezna i wystawił tam dokument, napisano, że stało się to w Gnieźnie, w Słowiańszczyźnie, a nie napisano, że w Polsce. Nazwa Polska robi karierę dopiero wraz z translacją zwłok św. Wojciecha do Gniezna, wyniesieniem znacznym od tej chwili Gniezna i epopeą Bolesława Chrobrego.

W kazdym bądź razie ten stan, jaki chwytamy w źródłach z końca wieku X, a w szczególności w dokumencie tzw. *Dagome iudex* nie jest stanem rzeczy odwiecznym, lecz świeżo dopiero ukształconym. Państwo wczesno - piastowskie rodzi się na naszych oczach i geograficznie i terminologicznie.

Na końcu próba jeszcze jednego wyjaśnienia. Skąd ten Szczecin w dokumencie *Dagome iudex*? Zdaje się najpierw dlatego, że Szczecin już w r. 966 był w posiadaniu Mieszka I, jak to sądzić wolno na podstawie jednego z kompilatorów Ibrahima Ibn Jakuba. Ale przede wszystkim zdaje się dlatego, że położony bardziej na północ Wolin żył w niezależności, lub stosunkowej niezależności od księcia piastowskiego, stale sprzymierzając się przeciw niemu z plemionami wieleckimi. Dlatego Piastowie za punkt swego oparcia w tych stronach uważali przede wszystkim Szczecin i stąd taki akcent położony na nim w dokumencie *Dagome iudex*.

Zygmunt Wojciechowski

MICHAŁ SZCZEPAŃSKI

Artykuł dyskusyjny

CZŁOWIEK WSPÓŁCZESNY A KAZANIA

WIELU wierzących i praktykujących katolików wychodzi z kościoła po kazaniu niedzielnym z poczuciem znudzenia, a czasem i niesmaku. Są i tacy wierni, którzy unikają Mszy św. z kazaniami, ograniczając się do wysłuchania tylko tekstu Ewangelii przeznaczonej na dane święto. Nie znaczy to, żeby po wszystkich kazaniach wierni wychodzili rozczarowani. Przeciwnie, jest wielu kaznodziejów, którzy potrafią porwać swym nauczaniem. Kościół wtedy jest pełen, a wierni przeżywają głęboko problematykę poruszaną z ambony. Trzeba jednak ze smutkiem stwierdzić, że mało jest takich kaznodziejów i że rozczarowanie w tym zakresie jest chlebem powszednim wielu katolików współczesnych.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego ludzie wierzący, praktykujący katolicy nie słuchają kazań? Co powoduje, że dużo kazań jest nudnych i odpychających?

Dzieje się tak dlatego, że wiele kazań współczesnych zawiera tematykę i sformułowania zbyt często powtarzane, co sprawia, że stały się one niemal frazesami. Wieczne prawdy wiary katolickiej i nieśmiertelne obrazy Pisma Świętego są tym sposobem zubożane, zeschematyzowane, pozbawione bogactwa, jakie zawiera katolicka religia i katolicki światopogląd.

Wielu kaznodziejów traktuje kazania w sposób rzemieślniczy jako jedno z codziennych zajęć, dla wykonania którego wystarczy posłużyć się truizmem jak najczęściej używanym; do kazania takiego nie trzeba się przygotowywać, nie trzeba go przemyśleć. Nie próbuje się wtedy analizować psychiki słuchaczy, ani też dostosowywać ujęcia zagadnienia do ich poziomu, ich zainteresowań, ich potrzeb duchowych, ale daje się rozwiązania szablonowe, posługując się oderwanymi od życia tych, do których się mówi i których się poucza. Rozwiązania i przykłady, pozbawione podbudowy życiowej i psychologicznej, pozbawione konkretyzacji, nie mogą poruszyć wewnętrznie słuchaczy i zaangażować ich psychicznie. Wywody kaznodziei bywają wtedy niejasne i nieprzekonywające.

Odnosi się to do tzw. kazań przyrodniczych, w których operuje się często w nieudolny sposób nieaktualnymi już argumentami nauk przyrodniczych, podając jako pewniki twierdzenia dawno już przez naukę obalone, co obraża i zniechęca wiernych o wykształceniu przyrodniczym. Odnosi się to również do szeregu tzw. kazań filozoficznych, których tezy przeprowadzone bez pogłębienia zagadnienia nie tylko nie przekonują wiernych, ale budzą wątpliwości i konflikty wewnętrzne. Odnosi się to również do kazań moralno-wychowawczych, które nie poruszając problematyki szczegółowo i dogłębnie, gubią się we frazeologii nie rozwiązując konkretnych, życiowych trudności etycznych słuchacza, nie przekonując go, lecz przeciwnie pozostawiając w nim poczucie, że normy etyczne religii katolickiej są niewykonalne życiowo.

Kazanie, usłyszane w kościele, winno poruszyć wewnętrznie człowieka, ukazując mu jasno i prosto prawdy objawione, lub wytyczając mu konkretną, codzienną jego drogę do Boga. Dobre kazanie winno stanowić dla słuchacza głębokie przeżycie religijne o charakterze dogmatyczno - intelektualnym lub moralno-wychowawczym, winno angażować psychicznie człowieka zwracając go ku Bogu i zmuszając go do analizy swego życia. Aby mówić do człowieka tak, by on nas rozumiał, trzeba przede wszystkim znać jego język i w tym języku do niego się zwracać. By poruszyć duszę człowieka trzeba znać jego psychikę, trzeba rozumieć jego sposób myślenia, potrzeby i bolączki, przeobrażenia i rozwój. Kaznodzieja musi wiedzieć do kogo mówi i jakie skutki jego słowa wywołują w duszach słuchaczy; kaznodzieja winien być głęboko świadomy swej odpowiedzialności za konsekwencje swego nauczania, które prowadzi w imieniu Chrystusa.

Wielu kaznodziejów twierdzi, iż ich nauczanie dotyczy stosunku człowieka do Boga, stosunku, który jest ściśle określony i niezmienny i że nauczanie Kościoła choćby najbardziej abstrakcyjne i oderwane od bieżącego życia jest zawsze aktualne, tak jak zawsze jest aktualna, niezmienna i wieczna w swej istocie, religia katolicka.

*

STOSUNEK człowieka do Boga w pojęciu chrześcijańskim jest rzeczywiście w swej istocie zawsze aktualny, niezmienny i wieczny. Stosunek ten ściśle określił Chrystus, uświęcając go swoim dziełem Odkupienia. Ale Chrystus przemawiał do ludzi sobie współczesnych ich językiem i istotę stosunku człowieka do Boga, istotę religii objawionej wykładał w formie dostępnej i najbardziej przemawiającej do ówczesnego człowieka, w formie przypowieści. „To wszystko mówił Jezus do rzesz w przypowieściach, a bez przypowieści nie mówił do nich. Aby się wypełniło co jest powiedziane przez proroka mówiącego: Otworzą usta moje, w przypowieściach, wypowiadać będą rzeczy skryte od założenia świata". (Mat. 13, 34—35). Tym samym Chrystus dał przykład wszystkim swym następcom, jak należy uczyć, jak należy dostosowywać formę nauczania, jego metody — do możliwości recepcyjnych słuchaczy.

*

SPOŁECZNOŚĆ Kościoła rozwija się w określonej rzeczywistości historycznej i sama stanowi pewną rzeczywistość historyczną, uwarunkowaną przemianami kulturalnymi, ekonomicznymi i politycznymi danej epoki. Aby rozumieć człowieka żyjącego na pewnym etapie historii, trzeba zrozumieć jego uwarunkowania historyczne, trzeba zrozumieć epokę, w której on żyje, pojmować kierunki jej rozwoju. Nie dość na tym. Aby umieć mówić przekonywająco do człowieka, trzeba przeżywać to, co on przeżywa, trzeba rozumieć życie tak, jak on je rozumie, trzeba pojąć jego plany i dążenia, jego trudności i smutki, jego radości i zwycięstwa.

I tu — być może — zbliżamy się do istoty problemu. Aby mówić do człowieka, trzeba go rozumieć, lecz aby go rozumieć, trzeba przeżywać życie razem z nim. Przeciętny ksiądz, idąc w młodym wieku do seminarium duchownego, nie zna na ogół życia. Program seminarium nie obejmuje nauk o bieżącej rzeczywistości historycznej z uwzględnieniem przemian kulturalnych, ekonomicznych i politycznych. Klerycy zaś są w dużym stopniu odizolowani i oderwani od życia. Rozpoczynając więc po wyjściu z seminarium pracę duszpasterską młody kapłan ma niezmiernie trudne zadania przed sobą: poznać wiernych, zrozumieć ich życie oraz elementy je warunkujące i nauczać ich religii Chrystusowej językiem dla nich zrozumiałym. Bez wątpienia, nie każdy kapłan uświadamia sobie tę sytuację i rozumie te zadania, nie każdy też jest w stanie im podołać. Niezrozumiałe na pozór niepowodzenia w pracy duszpasterskiej powodują zniechęcenie i rutyniarstwo uniemożliwiając duchowy kontakt z parafianami, uniemożliwiając nauczanie w ich własnej mowie.

*

DUSZPASTERZ przygotowany do swego zadania i rozumiejący słuchacza wychodzi mu na przeciw w jego wątpliwościach intelektualnych, dając mu konkretne rozwiązania problemu, przemawiając do niego ze znajomością rzeczy i przekonując go; wychodzi na przeciw jego trudnościom moralnym, niosąc mu konkretne, życiowe, aktualne ujęcie sprawy.

Przykładowo: jeśli mówi się o Wcieleniu Syna Bożego, to bardziej zastanawiający jest dla współczesnego słuchacza fakt historyczny narodzenia Chrystusa wraz z przedstawieniem ówczesnego tła historyczno-geograficznego, niż uzasadnienie teologiczne konieczności tego Wcielenia. Elementy teologiczne winny stanowić w konstrukcji kazania następstwo przekonującego faktu historycznego. Jeśli mówi się o małżeństwie chrześcijańskim, to trzeba o nim mówić jako o współczesnym zjawisku społecznym, wymagającym konkretnych rozwiązań moralnych. Jeśli mówi się o wychowaniu młodzieży, to trzeba o nim mówić jasno oceniając rzeczywistość, która często nie pozwala rodzicom zbyt wiele czasu poświęcać na wychowanie dzieci, np. wtedy, gdy oboje małżonkowie pracują. Trzeba ostro i jasno pokazać trudności i wyraźnie ustalić społeczne, chrześcijańskie rozwiązanie, licząc się z realnymi możliwościami wiernego. Jeśli mówi się o uczciwym chrześcijańskim stosunku do pracy lub własności, wówczas zagadnienie to trzeba ująć uwzględniając aktualną rzeczywistość historyczną, patrząc na człowieka i jego problemy w tym zakresie w aspekcie jego powiązań z tą rzeczywistością. Stosunek do pracy zmienił się i przybrał nowe formy, pojęcie to zostało rozwinięte; przy rozważaniu problemu własności w ogóle na plan pierwszy wysunęło się zagadnienie własności społecznej. Nie można mówić o tych zagadnieniach nie znając ich i nie dając konkretnej chrześcijańskiej ich motywacji.

Przykłady, cytowane wtedy w kazaniu, nie będą oderwane od życia, ale będą siłą rzeczy z niego wynikać, angażując tym samym słuchacza poszukującego właśnie rozwiązań w tym zakresie.

Kazanie winno być nie tylko teocentryczne, ale również humanistyczne, gdyż, mówiąc o Bogu, kaznodzieja zwraca się do człowieka i nie może abstrahować od jego osoby. Dobra Nowina bowiem jest dla człowieka i Chrystus ją głoszący cierpiał i zginął na krzyżu dla odkupienia człowieka.

Jednym z trudniejszych zagadnień jest dostosowanie poziomu kazań do poziomu słuchaczy. Sprawa przedstawia się stosunkowo prosto na wsi, gdzie środowisko jest w większości jednolite. Po poznaniu więc potrzeb i przeciętnego poziomu wykształcenia parafian można poziom kazań w pewnym sensie ujednolicić. Inaczej ma się sprawa ze środowiskami wielkomiejskimi, gdzie do kościoła przychodzą ludzie o różnym wykształceniu i różnych zainteresowaniach, różnym poziomie inteligencji. Wydaje się wtedy słuszne zróżnicowanie kazań, tak by stale o pewnych godzinach były w kościele kazania na pewnym określonym poziomie. Podkreślić przy tym należy, że w każdym kościele ta sama problematyka powinna być ujmowana inaczej, by wierni porównywując dwa czy trzy usłyszane kazania, w każdym z nich znaleźli pewne nowe oryginalne elementy. Tym sposobem można by wykorzystać to ogromne bogactwo ujęć występujące w chrześcijaństwie i nadające mu charakter uniwersalny.

Życie współczesnego człowieka jest tak bogate w problematykę dnia codziennego, przebiega w takim tempie, tak wielkie przynosi rozszerzenie wiedzy, że ludzie obecnej doby uciekają od wszystkiego, co problemy zamazuje, co ozdabia bez potrzeby, co jest bezużyteczne dla zrozumienia. Człowiek współczesny lubuje się w liniach prostych, sformułowaniach jasnych i ostrych, pokazujących prawdę życiową bez osłonek i żenady. Chce prawdę tę jak najdokładniej ujrzeć, bo wtedy tylko może ją przeżyć. Większość kazań współczesnych nie spełnia tych postulatów, przedstawiając prawdę zawile i rozwlekle, stylem często barokowym, który nuży i męczy, gmatwa i komplikuje problematykę. Pompatyczne zwroty, zbyt zmienna skala głosu, niepotrzebna gestykulacja zniechęca i rozczarowuje prostego człowieka, który przyszedł do kościoła, aby znaleźć prostą prawdę, tak bardzo nieraz upragnioną, prawdę, której często nie może się doszukać wśród oratorskich sformułowań kaznodziei.

„Kto rozdaje, niech to czyni w prostocie..." powiedział św. Paweł (Rzym 12, 8) i wydaje się, że to Pawłowe przykazanie jest jak najbardziej aktualne dla każdego kaznodziei.

List do Redakcji

O niedzielnych kazaniach

Z wielkim zainteresowaniem witamy w redakcji coraz więcej listów od naszych czytelników, które poruszają istotne i ważne zagadnienia, związane ze sprawami wiary, z pogłębieniem wewnętrznych przeżyć religijnych, z obowiązkami kapłana społecznie postępowego, z perspektywami rozwoju Kościoła katolickiego w kraju budującym socjalizm. Listy te świadczą o tym, że wiele problemów omawianych przez nas znajduje swój żywy oddźwięk w społeczeństwie katolickim. Poniżej zamieszczamy jeszcze jeden list do redakcji, poruszający tym razem sprawę kazań niedzielnych.

Wydaje nam się, że nie wszystkie wnioski autora, zmierzające do „podniesienia temperatury" kazań są trafne i wyczerpujące, mimo to list drukujemy sądząc, że żywo zainteresuje czytelników. Sprawie kazań niedzielnych poświęcamy osobny artykuł, który zamieszczamy w bieżącym numerze.

REDAKCJA

Nie jestem ani bigotem, ani ateistą. Jestem wierzącym katolikiem, takim, jak setki tysięcy innych ludzi w naszym kraju. Toteż to co powiem, niech będzie mi wolno uważać za niewypowiedziany dotąd przez pruderię czy z jakichkolwiek innych bądź powodów sąd wielu innych katolików. Materiał do tych rozważań nie trudno znaleźć. Oparłem się na własnej obserwacji i doświadczeniu, na wypowiedziach bliskich i znajomych osób. Terenem obserwacji są parafie w dzielnicach śródmiejskich jednego z miast wojewódzkich, w którym mieszkam. Jak wygląda sprawa, którą pragnę omówić, w parafiach leżących na peryferiach miast lub na wsiach — nie wiem. Mam jednak prawo sądzić, że z wielu względów nie lepiej. Otóż zacząłem się od tego, że coraz niechętniej począłem uczęszczać w niedziele i święta na nabożeństwa z kazaniem. I nie tylko ja. Wielu znajomych i bliskich mi ludzi też. Zauważyłem, że w czasie kazania panuje wśród wiernych poruszenie, po prostu przestępywanie z nogi na nogę i oglądanie się poza siebie. Bywają i rozmówki i uśmiechy. Zdarza się niekiedy, że ludzie w pośrodku kazania opuszczają po kilku i kilkunastu kościół.

Są to wypadki przykre i naprawdę nie budujące. Ale są. A dlaczego? Kogo winić za ten stan rzeczy? Wiernych i ich rzekomą niechęć do słuchania Słowa Bożego czy kościół? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy łatwo w wypowiedziach samych „malkontentów". Na pytanie więc, dlaczego ten i ów nie uczęszcza na nabożeństwa z kazaniem, dlaczego opuszcza kościół nie czekając końca kazania i nabożeństwa, usłyszymy prawie zawsze te same, typowe odpowiedzi:

— A bo widzisz, bracie, nuda, te kazania jakoś nie „biorą". Co ja na to poradzę? I cóż robić wtedy przez kwadrans czy dwadzieścia minut kazania? Są trzy zasadnicze możliwości. Pierwsza najprostsza i najprzyjemniejsza: szeptać pacierze, ale po cóż wtedy to kazanie? Druga, bardzo radykalna, ale za to swoiście konsekwentna: opuścić kościół. Jest jeszcze jedna możliwość: chodzić na nabożeństwa bez kazań. Ba, ale nam wszystkim, właśnie tym wychodzącym, chrząkającym, liczącym szybki i innym niespokojnym duchom, najwięcej potrzebne są kazania. Tylko jakie kazania? Dobre. W całym tego słowa znaczeniu dobre kazania.

Zastanówmy się nieco, co dobre kazanie powinno dać katolikowi i jakie ma spełnić zadanie, a co w większości wypadków daje.

Jako człowiek świecki patrzę na tę sprawę oczywiście nie okiem teologa, lecz tylko i wyłącznie jako „użytkownik" Słowa Bożego. Otóż czego żądam od dobrego kazania.

Przede wszystkim i na pierwszym miejscu podniesienia temperatury mojej letniawej na codzień wiary. Chcę nauki i wskazówek jak żyć, żeby chociaż w dniu usłyszanego kazania nie popełniać tych samych błędów, jakie popełniam na codzień. Chcę się wzruszać treścią i formą, tak, treścią i formą kazania. Dobre kazanie ma być poematem. Ma być w całym tego słowa znaczeniu przeżyciem estetycznym, radującym ucho i duszę. Ma być przeżyciem równym tym, jakich doznajemy czytając arcydzieła literatury, czy podziwiając obrazy sławnych mistrzów.

Niewiele będzie przesady w tym gdy powiem, że dobre kazanie tylko wtedy będzie oddziaływało dodatnio na słuchaczy, gdy postaramy się podnieść je do rangi sztuki. Dzięki rewolucji kulturalnej, jaka przebiega w naszym kraju, społeczeństwo podnosi stopniowo i stale swój smak i wymagania estetyczne. Wymagania te stawi społeczeństwo prędzej czy później także wobec Kościoła, wobec muzyki kościelnej, bo i tu nie wszystko jest jak należy, wobec formy, przede wszystkim wobec formy kazań. Czyż potwierdzeniem tego, co piszę, nie jest fakt dosyć ruchliwego krzątania się wokół zagadnień form artystycznych sztuki kościelnej, dewocjonaliów i wnętrz?

Takie są moje nieco wyidealizowane pojęcia o funkcji kazań. Czyż jednak kazania dotychczas nie spełniają podobnych postulatów?

Otóż twierdzę, że nie. Stanowczo nie! Bądźmy szczerzy. To co zwykliśmy określać mianem kazania jest po prostu rutyniarstwem. Gorzej, jest słownym brakoróbstwem dążącym do celu po drogach najmniejszych oporów. Czyż kazaniom dotychczasowym nie możemy zarzucić schematyzmu i deklaratywizmu, tak destruktywnie wpływających na słuchaczy? Czy co niedzielę nie jesteśmy często świadkami pełnych patosu gestów? Czy przy całym ubóstwie słownym mogą one wywrzeć na bądź co bądź nie najgorzej pod względem kulturalnym, a więc i estetycznie ukształtowanych wiernych (środowisko wielkomiejskie) swe posłannictwo? Czy monotonne i bez przekonania głoszone kazania mogą uszlachetnić przeciętnie gorliwego katolika i pomóc mu w jego codziennym życiu? Czy przykład, zaczerpnięty z współczesnego życia, zobrazowany za pomocą archaicznego, biblijnego stylu nie rozśmiesza raczej niż buduje? A czy zbyt kwieciste i „liryczne" metafory, jakimi przetkane są niektóre kazania nie świadczą wprost o złym smaku i poetyckiej megalomanii niektórych kaznodziejów, obliczonej na tandetne gusty wiernych? Zdaje się, że jesteśmy u źródła owych przestępywań z nogi na nogę i demonstracyjnych, choć nie mających jeszcze masowego charakteru wyjść w czasie kazania. Już wiemy, dlaczego to czy tamto kazanie nie „bierze".

Trudno napisać receptę na dobre kazanie. Jeszcze trudniej i niesprawiedliwiej byłoby posądzać tutaj księży o złą wolę. Wiemy, że nie każdy jest zdolnym mówcą, że odgrywa tutaj rolę i kwestia talentu, temperamentu, dykcji itd. Wiemy, że przecież i dobremu skądinąd kaznodziei zdarzają się „potknięcia". Trudno, wszystko co ludzkie nie jest ludziom obce. Takie sporadyczne „potknięcia" każdy z chęcią i ze szczerego serca wybaczy. Gorzej, gdy na ambonie stają (niechże się już wyjęczę) notoryczni nudziarze. Więcej szkody niż pożytku z takiego kazania.

Jakie nasuwają się stąd wnioski?

Przede wszystkim, niech każą tylko ci księża, którzy mają po temu warunki tak wewnętrzne jak i zewnętrzne. W warunkach wielkomiejskich sprawa ta nie powinna stanowić nieprzebytych trudności. Parafie obsadzone są przeważnie przez kilku duchownych, którzy na pewno różnią się między sobą talentem retorskim. Poza tym w warunkach miejskich istnieją możliwości współpracy i wymiany kaznodziejów między poszczególnymi parafiami. Niech przygotowywanie kazań nie będzie czynnością mechaniczną, rutyniarską, dla niektórych może nawet złem koniecznym, ale pracą w całym tego słowa znaczeniu twórczą. Niech księża przygotowujący kazania mają na uwadze, że ich praca, a praca pisarza - publicysty to w zasadzie swej jedno i to samo. Niech pamiętają, że analogia ta stawia w konsekwencji te same wymagania stylistyczne, kompozycyjne i językowe wobec kazań co przed każdym dobrym essayem czy inną formą publicystyki. Niech pamiętają, że kazanie nie jest niczym innym, jak jednym z gatunków literackich o tematyce religijno-moralizatorskiej.

Tak pojęte kazania będą rzeczywiście żywym Słowem Bożym, a nie tym przysłowiowym grochem o ścianę. A że zyskają na tym nie tylko wierni, ale i w równej mierze sam Kościół, nie trzeba chyba wspominać. Walka o jakość kazań tak w swej treści jak i formie będzie jednym ze zdrowych przejawów naszej troski o wiarę i miernikiem postępu społeczeństwa katolickiego w jego estetycznym „umuzykalnieniu".

Jerzy B. Kamiński
(Bydgoszcz)

TADEUSZ BIELICKI

KRYZYS, KTÓRY MA BYĆ PRZEŁOMEM

JESIENIĄ roku 1952, z inicjatywy amerykańskiej Fundacji Wenner-Gren, zebrało się w Nowym Jorku przeszło 80 wybitnych antropologów na Międzynarodowy Kongres Antropologiczny. Celem Kongresu było krytyczne przedyskutowanie całokształtu wiedzy o człowieku w jej obecnym stanie. Materiały dyskusyjne z tego Kongresu, opublikowane w ubiegłym roku w postaci dwu tomów przez Uniwersytet w Chicago *), stanowią lekturę pasjonującą, dającą dużo do myślenia, i — przez swój ogólny, ambitnie syntetyzujący, nie przyczynkarski charakter — niesłychanie interesującą nie tylko dla fachowca, lecz także dla każdego średnio wykształconego laika.

Antropologia na Zachodzie, zwłaszcza w krajach anglosaskich, przechodzi kryzys — i to kryzys głęboki, sięgający podstaw, ba! — samej nawet definicji terminu „antropologia". To jest wniosek jaki się nieodparcie nasuwa przy studiowaniu wspomnianych publikacji. Szczególnie pod tym względem znamienna, bo zawierająca ten pogląd sformułowany expressis verbis, jest wypowiedź jednego z uczestników Kongresu, Alexa Kriegera:

„W chwili obecnej rzeczą ważniejszą od prac terenowych jest teoretyczne opracowanie już posiadanych materiałów, stworzenie jakichś ram interpretacji, wewnątrz których ta olbrzymia masa surowych danych, jakimi dysponujemy, mogłaby być uporządkowana jasno i logicznie... Atakujemy różne drobne problemy z pasją i pomysłowością, doprowadziliśmy do perfekcji technikę wykopaliskową, poświęcamy mnóstwo czasu na drobiazgowe opisy szczątków kostnych, narzędzi, grobów, obyczajów — ale stajemy od razu bezradni skoro tylko chodzi o uogólnienia..."

Taka jest — bardzo, jak się zdaje, trafna — diagnoza choroby: kompletny brak s y n t e t y c z n e g o r o z m a c h u. W mrówczym mozole prac terenowych, w oszałamiającej powodzi szczegółów, wlewających się do literatury fachowej nieprzerwanie, jak rzeka, przez okrągły rok — utonęły w końcu wszelkie próby znalezienia jakiejś szerszej perspektywy i nadania temu piętrzącemu się coraz wyżej stosowi faktów jakiegoś ogólnego, poznawczego sensu. Jest to obraz przygnębiający. Najtężsi nawet specjaliści uświadamiają sobie z niepokojem, że zaczynają powoli sami tracić orientację w zbudowanym przez siebie i swych poprzedników labiryncie — i oglądają się jakby trochę zażenowani za zgubioną gdzieś po drodze idcą przewodnią całej pracy. Przypomina to nieco ową hinduską bajkę o skąpcu, który nagromadziwszy pieczołowicie w ciągu wielu lat bezcenne kosztowności w żelaznej szkatule — stwierdził pewnego dnia, że nie pamięta już magicznej formuły, na dźwięk której wieko się otwiera...

Co gorsza — i to jest drugi, obok „hypertrofii faktów", objaw kryzysu — antropologia anglosaska cierpi na... nadmiar ambicji, i — będący skutkiem tego nadmiaru — jakiś jakościowy, chorobliwy przerost problematyki, karykaturalne rozdęcie zakresu zainteresowań. Nauka ta chciałaby — trzymając się niewolniczo etymologii własnej nazwy — objąć i zmieścić w sobie c a ł o ś ć współczesnej wiedzy o człowieku: wiedzy zarówno przyrodniczej, tj. zajmującej się człowiekiem jako gatunkiem biologicznym — jak i społecznej, rozpatrującej człowieka jako źródło procesów kulturotwórczych. Te ekstremistyczne, „zachłanne" tendencje znalazły jaskrawy i bardzo znamienny wyraz w wypowiedzi A. L. Kroebera:

„Przedmiot antropologii ogranicza tylko c z ł o w i e k. Nauka ta nie jest ograniczona czasowo: sięga daleko wstecz, w geologię, do momentu od którego wyśledzić można pierwsze ślady człowieka na ziemi. Nie jest ograniczona do żadnego określonego rejonu, lecz ma zasięg ogólno-światowy. Bada ludy pierwotne, ale nigdy nie rezygnowała z zamiarów zrozumienia najwyższych form cywilizacyjnych... Zajmuje się w równej mierze biologią człowieka, jak i strukturą społeczeństw, ich produkcją, językami i kulturą duchową... Antropologia zmierza do tego, by stać się ostateczną nauką koordynującą".

Jest to oczywista i niedopuszczalna przesada. We wspólne ramki jednej dyscypliny próbuje się „na siłę" wcenchnąć tak różne dziedziny wiedzy, jak anatomię, fizjologię i genetykę, psychologię, socjologię, prehistorię, etnografię — a nawet religioznawstwo i lingwistykę! Po dokonaniu takiego karkołomnego zabiegu powstaje dziwaczny twór, będący typowo sztucznym zlepkiem różnych nauk, twór, którego jedyną racją bytu jest kilka zużytych i wątpliwej wartości frazesów o „biologiczno-kulturowej jedności człowieka" itp. Prawa Mendla i garnki neolityczne, australopitheki i zagadnienie „osobowości" („personality"), modne ostatnio studia nad „charakterem narodowym", morfologię ras, rozmaite finezje językoznawczo-etnogenetyczne — i mnóstwo innych jeszcze rzeczy — wszystko to bezceremonialnie wrzucono do jednego kotła, łudząc się, że da się w ten sposób spreparować jakąś zawrotną, wszechobejmującą i „koordynującą" naukę o Człowieku. Jak to zwykle w takich razach bywa — zamiast „koordynującej wszech-nauki" powstała straszliwie zawiła gmatwanina problemów. Wprawdzie tego rodzaju nauka przez swą „pstrokatość" — może wyglądać b. atrakcyjnie, sprawia bowiem wrażenie imponującej wszechstronności, a nadto samą antropologię przenosi gdzieś na zawsze poza granice humanistyki i przyrodoznawstwa — ale jednocześnie z góry wyklucza jakąkolwiek jednolitość metod w obrębie tak szeroko pojętej nauki i czyni z samego słowa „antropologia" termin typowo mętny, mglisty, „wszystkoznaczny", a z antropologów — ludzi, którzy właściwie nie bardzo wiedzą czym się zajmują. Marginesowo nasuwa się tu uwaga, że u podstaw opisanych wyżej prób podciągnięcia pod jeden strychulec zjawisk biologicznych i kulturowych — w imię stworzenia jednej wszech-nauki — tkwi dość łatwo dostrzegalna, nader prymitywna, naiwnie- mechanistyczna postawa światopoglądowa.

W świetle tego wszystkiego, co wyżej powiedziano, zrozumiałe się staje, skąd w antropologii amerykańskiej biorą się takie dziwolągi, jak tzw. „antropologia klas", operująca zupełnie pozbawionymi sensu pojęciami — np. pojęciem „genotypu klasy społecznej"(!). Wszystko to są smutne nieporozumienia wynikające z zabłąkanych gdzieś staje, skąd w antropologii amerykańskiej biorą się takie dziwolągi, jak tzw. „antropologia klas", operująca zupełnie pozbawionymi sensu pojęciami — np. pojęciem „genotypu klasy społecznej"(!). Wszystko to są smutne nieporozumienia wynikające z zabłąkanych gdzieś wizją jakiejś utopijnej „koordynującej wszech-nauki". Wizje takie skłaniają, siłą rzeczy, do porównywania wszystkiego ze wszystkim — i w efekcie do zestawiania ze sobą spraw z gruntu r ó ż n y c h, których się zestawiać nie da. Powstaje komiczny bałagan pojęciowy, którego płodem są takie właśnie „wynalazki", jak „antropologia klas" czy choćby osławiona i ośmieszona rasistowska teoria „narodu nordyków". Są to pomysły w gruncie rzeczy groteskowe — ale taka już jest logika historii, że te właśnie chybione, odpadkowe produkty nauki o człowieku mają też swoje „zamówienie społeczne" i znajdują żywy popyt. Są łapczywie podchwytywane przez wstecznictwo, zwolenników społecznego status quo, przykrawane, sztukowane i przerabiane na rozmaite sposoby, odpowiednio do aktualnych potrzeb politycznych — i ostatecznie upamiętniają się w historii nauki rolą bynajmniej nie groteskową, choć wydawałoby się, że z uwagi na oczywisty fałsz tych „teorii" nie powinno im było przypaść w udziale nic ponad krótki żywot efemerydy!

Mimo pokutujących wciąż wśród większości naukowców Zachodu błędnych burżuazyjnych tradycji o „czystości" i „apolityczności" nauki — z szeregu wypowiedzi na nowojorskim Kongresie przebija postawa trzeźwa, rzetelna i uczciwie krytyczna, podyktowana szczerą chęcią wyprowadzenia antropologii z obecnego impasu. Życzyć by więc wypadało tym uczonym anglosaskim, aby przede wszystkim zrezygnowali z wygórowanych ambicji, pozostawili lingwistykę lingwistom, a socjologię socjologom i zawęzili swe badania do wyraźnie określonego, mocno obrysowanego kręgu zagadnień antropogenezy (tj. pochodzenia człowieka) i antropologii rasowej. Nie oznacza to, rzecz jasna, aby rezygnować na tym terenie z pomocy dyscyplin humanistycznych, które przecież nierzadko przychodzą antropologom skutecznie w sukurs — korzystając zresztą same w równej mierze z faktów ustalonych przez antropologię; taki „izolacjonizm" byłby głupotą. Trzeba jednak pamiętać, że antropologia jest nauką p r z y r o d n i c z ą i jako taka operuje specyficznymi, często bardzo ścisłymi metodami (np. statystyką matematyczną), których mechanicznie na grunt zjawisk kulturowych przenosić nie wolno. Za tego rodzaju nieprzemyślaną żonglerkę płaci się — jak to widzimy — zupełną bezradnością w wypadku potrzeby budowania jakichś syntez i uogólnień. A synteza jest przecież celem ostatecznym każdego postępowania naukowego. Wiedza, która nie potrafi wyjść poza rejestrowanie jednostkowych faktów — nie ma żadnej wartości, ani praktycznej, ani poznawczej.

*) „Anthropology To-day; An Encyclopedic Survey" i 2. „An Appraisal of Anthropology To-day": obie pozycje wydane przez University of Chicago Press, rok 1953.

ZYGMUNT LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (45)

LIST O „WŁADZY"

DOSTAŁEM list od Bernarda. Trochę byłem tym zdziwiony, ponieważ Bernard mieszka na tej samej co i ja ulicy, no i widzimy się niemal codziennie, gdyż łączy nas znajomość kilkuletnia, ciągle jeszcze pełna wzajemnego zainteresowania i radosnych niespodzianek. Ten list był jedną z nich. Trochę się uśmiechając nad uroczysto - ironiczną emfazą spisanej maczkiem na czterech stronach epistoły, postanowiłem poświęcić jej więcej niż zwykle uwagi. Oto list Bernarda.

„Carissime —

nie dziw się archaiczności czy raczej starożytności tego nagłówka. Akurat ten nagłówek wydaje mi się dzisiaj najwłaściwszy. Może sam zrozumiesz dlaczego? Postanowiłem odświeżyć naszą nader nowożytną znajomość czymś, co pachnie zleżałym pergaminem, kto wie, może nawet przywodzi na myśl baoilońskie cegiełki z pismem klinowym. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że trochę w tym wszystkim moich niewyzyskanych zamiłowań literackich. Wiesz jednak, dlaczego nie pozwalam sobie na żadne „literackie" wystąpienia. Po prostu: zbyt ukochałem rzeczy piękne, stworzone przez innych. Wolę po raz setny powtórzyć sonet Petrarki do Laury, niż napisać sonet o Reginie, którą na pewno konkretniej i głębiej kocham, niż Petrarka Laurę. Ale to tylko dygresja. Chociaż — dlaczego mielibyśmy uciekać od dygresji? Tylko luazie, którzy mają mało do powiedzenia, widzą w dygresjach niebezpieczeństwo chaosu. Chaos jest po prostu bardzo rozrzutnie zorganizowanym bogactwem. Nie chcę jednak wodzić Twojej cierpliwości na pokuszenie. Więc — chociaż mam ogromną chęć wygłosić pochwałę dygresji — muszę przejść ad rem. Przedtem — jeszcze tylko jedna dygresja.

Zanika we współczesności ciekawa sztuka epistolografii. Nie umiemy ani pisać, ani czytać listów tak jak dawniej. Minął, niestety, okres, gdy list był poszerzoną i pogłębioną rozmową, pamiętnikiem, traktatem, czy utworem poetyckim. Nie ma już przesyłek na miarę tych, jakie otrzymywali ongiś Pizoni. Coraz mniej choćby listów „człowieka szalonego". Czasami tylko jeszcze u nas szczęśliwa Felicja czyta, albo raczej czytywała, urocze listy wiernego sztuce Eleutera. Wielka szkoda! O jedną szansę mniej. A kultura to przecież między innymi dążenie do maksimum szans poszerzania świata, pogłębiania człowieka. Za łatwo godzimy się na to, by list przekazywał nam tylko humor ciotki Agnieszki, stan pogody w Zakopanem czy przepis na szarlotkę lub sposób wywabiania ciemnej plamy atramentu z jasnego kostiumu letniego. W listach powinno być więcej nas. Tego co przeżywamy lub przeżywać chcemy.

Dlatego nie gniewaj się, że nie będę do Ciebie pisał ani o zdrowiu Reginy, ani o wizycie Kornelskich, ani nawet o Waszych odwiedzinach sprzed kilku dni. To możemy obgadać przy pierwszej lepszej okazji. Chciałbym natomiast pogawędzić z Tobą listownie o książce, którą mi ofiarowałeś na urodziny, bo domyślam się, że wybrałeś tę a nie inną z bardzo określonych powodów. Oczywiście, podejmując rozmowę na jej temat, mam świadomość, że to Twoja prowokacja. Ale dać się sprowokować tylko wtedy, gdy chce się być sprowokowanym, to właśnie przyjemność, której nie umiem sobie odmówić.

Przeczytałem „Władzę") — jak to się mówi z zapartym tchem. Już sam ten fakt jest — w moim wyobrażeniu — jakimś argumentem przeciwko książce. Dzieło sztuki powinno nakazać dla siebie szacunek, wykluczający postawę prymitywnej żarłoczności. Pisarz powinien tak pisać, by czytelnik chciał mieć jak najwięcej przed sobą wieczorów pierwszego obcowania z jego książką, aby odkładał z trudnym wyrzeczeniem — jeszcze trochę radości na później, aby oddalał z mądrym wyrafinowaniem ten moment, w którym już żadnej niespodzianki nie kryje przed nim dzieło (...)**)*

...Tak więc pierwszą część powieści Tadeusza Konwickiego przeczytałem z zapartym tchem. Dodać muszę od razu: zapartym ze zniecierpliwienia. Niecierpliwiła mnie w tej książce jej zwycięska logika, jej brak niejasności, prawidłowość w rozwoju każdego wątku, lęk przed dwuznacznością. Od początku wszystko jest wiadome, wypunktowane, wmontowane w zegarowy niemal mechanizm przyszłości. Gdy wybije godzina każdej postaci, wyskoczy ona z pudełka i albo odchyli się na lewo, albo na prawo, albo nieugięcie stanie na swoim stanowisku, by ustosunkować się, włączyć się, w ogóle — świadczyć, że.

*To bardzo źle. Sztuka świadczy o prawidłowości logiki dziejowej, o nieugiętej konsekwencji praw rządzących historią, ale czynić to może także poprzez pytajniki, niedopowiedzenia. Wykrzyknik przeważnie ścisza artystyczną wymowę dzieła, kropka nie istnieje w zdaniu artystycznym, ostatecznym znakiem interpunkcji artystycznej jest przecinek i wielokropek, rzadko dwukropek (...)***)*

*U Konwickiego we „Władzy" główne postaci negatywne określone są — może nawet mimowolnie aprioryzmem postawy narratora. Ledwie zobaczymy Korejwę pod portretem Wiesława, ledwie wypowie on pierwsze zdanie o tym, że w Polsce inaczej niż w Związku Radzieckim — już jest określony ostatecznie, już do końca musi być beletrystyczną ilustracją prawicowo - nacjonalistycznego odchylenia, już do końca musi być przykładem uterenowienia błędów gomułkowszczyzny. Autor odmierzać mu będzie za napój tylko krople octowej goryczy sarkazmu, za pokarm da mu tylko zakalcowy chleb utajonej wrogości. Podobnie jest z prezesem Ciszkowskim. Od razu otacza go aura płazowata, krecia, niesympatyczna. I już do końca musi być reprezentantem zbankrutowanej prawicy peeselowskiej, funkcją prymitywnej mikołajczykowskiej polityki. Autor poi go tylko nudną, przecukrzoną limonadą bogoojczyźnianej frazeologii sowicie mu odmierza porcje ohydnego kleiku antyludowej obłudy. Z Derkaczem — tak samo. Tylko samogon mocarstwowego odurzenia, tylko spleśniałe ochłapy mięcha dywersanckiej zbrodni. Tak odżywieni bohaterowie muszą zachorować według przepisanej im recepty. I chorują bardzo przykładnie, wręcz przykładowo, klinicznie, w zgodzie z wszystkimi diagnozami, niemal jak w pokazowym ambulatorium, gdzie młodzi studenci śledzić mają nieomylną prawidłowość w nieprawidłowości funkcjonowania ludzkiego organizmu. Zaprawdę, głośno chce się tu zawołać: medice, cura te ipsum!...****)*

...Najogólniej mówiąc generalny błąd „Władzy" Konwickiego polega na nieomylności przedstawienia losów politycznych poszczególnych ludzi. Mówiąc prymitywniej: mimo dużych wysiłków autora „Władza" przedstawia funkcje różnych postaw politycznych, jest — w dotychczasowym swoim kształcie — powieścią o postawach politycznych, a nie o ludziach. Rzetelny talent młodego pisarza ulokowany tu został w dziele o błędnym kierunku postępowania artystycznego: dzieło rozwija się od polityki ku życiu, a powinno mówić o życiu — mówić o polityce. Jeśli będziesz udawał, że tego nie rozumiesz, na Twoje wyraźne życzenie mogę w następnych listach mówić wulgarniej. Uczynię to jednak z wyraźną przykrością, tak jak z wyraźną przykrością muszę kończyć ten list, by podjąć trud rozmawiania z ciotką Agnieszką na temat jej kamieni żółciowych. Wróciła właśnie od lekarza i jest przerażona tym, że świat tak mało interesuje się jej chorobą. Pozwól więc bym złagodził jej sąd o egoizmie ludzkim, w imię którego zabierze mi co najmniej trzy kwadranse na rozstrząsanie swoich bardzo konkretnie wewnętrznych spraw.

Twój Bernard

P.S. Czy nie zastanowiło Cię nigdy, że w powieściach współczesnych tak uparcie się milczy o sprawach, które przeżywa na pewno nie tylko ciotka Agnieszka? Oczywiście, nie myślę o jej kamieniach, lecz o jej potrzebie posiadania dla siebie dobroci innych ludzi".

PO przeczytaniu listu Bernarda natychmiast zasiadłem do odpowiedzi. Byłem trochę zły. Mnie „Władza" bardzo się podobała. Oczywiście, widziałem jej błędy. Zwłaszcza te, o których pisał Bernard. Ale właśnie dlatego czułem się zobowiązany do pokazania mu wszystkiego, co w książce cenne, twórcze, obiecujące. Wyczuwałem w jego liście wiele szczerej troski o literaturę, wiele bezinteresownego, pięknego umiłowania litratury, widziałem, że cieszy się jej osiągnięciami tak samo szczerze, jak smuci każdą przegraną. Wygarnąłem więc wszystko, co miałem w głowie, na sercu i wątrobie. Wyrósł z tego list jeszcze dłuższy niż list Bernarda. Było w nim i o roli „Władzy" na tle bolesnych słabości współczesnej powieści politycznej, i o potrzebie tworzenia nowej konwencji w przeżywaniu utworu literackiego, i nawet o wartościach intensywnie nasyconego realiami języka, jednym słowem: o tym wszystkim niemal, o czym się pisze w sążnistych artykułach krytyczno - literackich.

W jakiś czas potem dostałem znowu list od Bernarda. Z listu wiało dziwnym chłodkiem, jakby rozczarowaniem, jakby urazą. Dopiero pod koniec słowa ocieplały, spomiędzy wierszy błysnął uśmiech Bernarda. Zaczynał bardzo oficjalnie:

„Obywatelu Krytyku —

muszę Wam przede wszystkim podziękować za wykład. Bardzo pouczający i bardzo smutny. Że też z wami nie można po ludzku porozmawiać o literaturze! Zaraz popadacie w szkolarski, seminaryjny, diabelnie polonistyczny ton. Trochę to jednak było potrzebne w Twoim liście — przyznaję. Przede wszystkim przyda się to dla wyjaśnienia nieporozumienia dosyć istotnego. Piszesz, że Konwicki to talent, że jego „Przy budowie" już zapowiadało rzetelniejsze rozumienie upolitycznienia sztuki pisarskiej, a „Władza" to rozumienie upolitycznienia sztuki pisarskiej pogłębia. Piszesz, że czuć w nim mądrego gospodarza słów, logicznego organizatora narracji, oszczędnego szafarza efektów. Ależ tak! Masz rację! I ja tak go oceniam. Nie będziemy się o to kłócili.

Piszesz jeszcze, że jego „Władza" odbija zdecydowanie od produkcji literackiej ostatniego (mówisz: „powiedzmy dziesięciu miesięcy") okresu. Ależ tak! Masz rację. I ja tak sądzę, chociaż nie jestem tak heroicznym męczennikiem literatury jak Ty, to znaczy nie czytam wszystkiego. Wiem jednak że „Władza" to powieść wybijająca się spośród innych.

Piszesz wreszcie o jej odwadze mówienia na tematy dawniej przemilczane, o dalej posuniętej komplikacji rysunków postaci, niż to bywało w czarno - białych powieściach powielaczowych, wreszcie o języku sugestywnej narracji, sensualistycznych opisów i wartkiej akcyjności. Podpisuję się pod Twoimi pochwałami.

*Nie zgadzam się tylko z funkcją tych pochwał, z rolą jaką zdajesz się im przyznawać w krystalizowaniu swojej oceny. Według mnie zalety „Władzy" mocniej akcentują jej niedobory, według Ciebie — są czymś w rodzaju rekompensaty. Nie gniewaj się, lecz jedynie uprzejme określenie, jakim mogę nazwać tego typu zabieg, to określenie tchórzliwego aptekarstwa...*****)*

Właśnie to jest ważne i to bolesne, że „Władza" będąc jedną z najlepszych powieści politycznych jest powieścią skażoną błędem pisarskiego aprioryzmu. Właśnie to jest ważne i to bolesne, że talenty tak rzetelne i tak niewątpliwe, jak talent Konwickiego, podlegają temu błędowi. To natomiast, że powieść jest dojrzalsza od wielu swoich poprzedniczek — jest normalne. Tak powinno być. Zwykłe prawo rozwoju, prawo dziedziczenia doświadczeń, prawo korzystania z cudzych błędów.

Piszesz, że to dobrze napisana powieść. Sądzę, że tym razem zbyt jesteś wstrzemięźliwy. To bardzo dobrze napisana powieść. Wierz mi, nie pisałbym do Ciebie w sprawie miernoty. Ale to, że powieść jest dobrze, czy nawet bardzo dobrze napisana nie mówi o niej wszystkiego. Maluczko, a zaczniecie chwalić powieści za to, że są dobrze wydrukowane.

Zastanów się: dobrze napisana powieść, w której utalentowany pisarz zuboża jakoś prawdę o człowieku, bo traktuje ją apriorycznie, opisowo, ilustracyjnie — to szansa zaprzepaszczona. Tym boleśniej zaprzepaszczona, im lepiej napisana była powieść. Nie szachuj mnie jednością treści i formy! Wiesz doskonale, że to co mówię, nie narusza prawa tej jedności. Zresztą możesz to, jeśli chcesz, rozdłubać seminaryjnie, błagam Cię tylko o jedno: zastanów się nad tym.

Napisz kiedyś o „Władzy" poważny artykuł. Zasługuje na to i — Ty na to zasługujesz, jeśli przyjąłeś moje dotychczasowe uwagi bez wyniosłości fachowca wobec dyletanta. Pamiętaj, że literatura jest dla nas, a nie dla was. Dla was o tyle, o ile — będąc sobą — jesteście wśród nas. A gdy będziesz pisał — pamiętaj o tym, że w sztuce nie wolno poprzestawać na małym, każda rezygnacja jest słabością, każde jej przemilczenie — przegraną. I pamiętaj jeszcze, że tylko wtedy literatura będzie wielką i kochaną literaturą, gdy rzucając kamienie na szaniec — nie zapomni o kamieniach ciotki Agnieszki.

Ściskam Cię mocno

Bernard"

Nie odpisywałem już na ten list, bo Bernard przysłał później inny, o innej już książce. Ale o projekcie napisania przeze mnie artykułu o „Władzy" nie zapomniał. Pytał, w jakimś postscriptum, czy pamiętam. Oczywiście, pamiętam. Nawet podałem mu konkretny termin: gdy Konwicki przedstawi nam całość swej pracy.

*) Tadeusz Konwicki: Władza, powieść, część pierwsza, Czytelnik, 1954, str. 392.

**) Tu muszę opuścić dygresjonalny fragment listu Bernarda, poświęcony wywodom na temat roli momentu zaskoczenia jako poznawczej funkcji dzieła sztuki. Gdybym podawał list Bernarda w całości — zabrakłoby miejsca na całość tego i następnych listów. Proszę więc wybaczyć i następne opuszczenia, które zgodnie z życzeniem Bernarda — odnotowuję w skrupulatnych odsyłaczach, przepraszając wszystkich — a Bernarda w pierwszym rzędzie — za częstość tego bolesnego zabiegu.

***) Tu znowu muszę zrezygnować z dygresji Bernarda, poświęconej protestowi przeciw bezpośredniości funkcji poznawczej dzieła sztuki. Dla uniknięcia nieporozumień muszę jednak zaznaczyć przynajmniej w odsyłaczu, że protest ten u Bernarda — chociaż tak jest u wielu kryptoreakcjonistów — nie równa się postulowaniu sztuki bezideowej, apolitycznej, mętnej i dezorganizującej wiedzę o świecie. „Chodzi o to — powiada Bernard w końcowej partii opuszczonej przeze mnie dygresji — aby sztuka ładała od odbiorcy współdziałania emocjonalnego i intelektualnego, aby zostawiła coś poza trawieniem dla inwencji konsumenta, wtedy rozwija budzi, kształtuje. W przeciwnym wypadku — dając gotową koncepcję świata — usztywnia, spłyca, zubaża świat".

****) Znowu opuszczam dłuższą dygresję Bernarda. Tym razem dotyczyła ona — jak sam Bernard to określił — „autoterapii pisarstwa". Kwintesencję przydługich trochę wywodów na ten temat sprowadził Bernard do lapidarnej konkluzji: „Pisać o rzeczach zasadniczych przez analizę ich pochodnych. W analizie uwzględniać współczynnik pozornej nawet niewiadomej. Niewiadomą pozostawiać obliczeniom czytelnika. Obliczenia czytelnika warunkować wiedzą o historii, wpisaną w los jednostkowy. Losowi jednostkowemu przyznać prawo autonomii podporządkowanej zasadniczemu celowi dzieła. Cel dzieła traktować jako postulat poznawczy, a nie komentarz interpretacyjny". Na marginesie tego podsumowania wpisał Bernard kilka zdań, które podkreślił falistą linią, więc je podaję, sądząc, że przywiązuje do nich duże znaczenie: „Nie bać się odstępstw od reguły. Ponieważ wszystko jest polityką, iść w dziele od życia ku polityce, a nie odwrotnie. Więcej cenić ryzyko twórczego błędy niż bladą poprawność prymitywnego kanonu". Reszta — nieczytelna.

*****) Zmuszony jestem w tym miejscu opuścić nie tyle zbyt długą, ile zbyt żartliwą filipikę Bernarda przeciw „eunuchowatości w krytyce". Usprawiedliwia mnie częściowo fakt, że najbardziej eufemistycznymi sformułowaniami, jakich tam używa, są sformułowania takie jak „sacharynowi farmaceuci", „Zolle o tyle o ile", itp. Poza tym jest to filipika w której — niezależnie od słuszności jej kierunku — autor zastąpił wbrew swoim zwyczajom mocne argumenty mocnymi słowami.

KOMUNIKAT

o rozstrzygnięciu Konkursu Literackiego pod nazwą „Na drogach ku Polsce Ludowej"

ogłoszonego przez redakcję „Dziś i Jutro"

Jury konkursu literackiego w składzie:

Prof. dr Stefania Skwarczyńska — przewodnicząca, dr Witold Ostrowski, red. „Tygodnika Powszechnego" — Mieczysław Kurzyna, red. „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego" — Tadeusz Mazowiecki, red. „Dziś i Jutro" — Andrzej Krasiński oraz krytycy literaccy: Stefan Lichański i Zygmunt Lichniak — na zebraniu, które odbyło się dnia 19.V.1954, postanowiło:

I. W dziale prozy —

a) przyznać dwie równorzędne nagrody pierwsze po 3 000 zł każda, za opowiadanie pt. **„Na obrocie"** podpisane godłem **„Róża"** i za dramat pt. **„W krakowskiej kamienicy"** podpisany godłem **„Maria Artym"**;

b) przyznać drugą nagrodę w wysokości 2 000 zł za opowiadanie pt. **„Polskie drogi"** podpisane godłem **„Międzyzdroje"**;

c) nie przyznawać trzeciej nagrody;

d) przyznać dwa równorzędne wyróżnienia, po 500 zł każde, za opowiadanie pt. **„Rodzinny ołtarzyk"** podpisane godłem **„Nihil novi sub Iove"** oraz za dramat pt. **„Bunt ewangeliczny"** podpisany godłem **„Prospero"**. Są to wyróżnienia za odwagę podjęcia trudnej problematyki współczesnej wsi polskiej.

II. W dziale poezji —

a) przyznać pierwszą nagrodę w wysokości 2 000 zł na utwór pt. **„Dwie życia połowy"** podpisany godłem **„Kronikarz"**;

b) przyznać drugą nagrodę w wysokości 1 500 zł za utwór pt. **„Dzień powszedni"** podpisany godłem **„Domkowski"**;

c) przyznać trzecią nagrodę w wysokości 750 zł za utwór pt. **„Naprzeciw"** podpisany godłem **„AKW"**;

d) przyznać jedno wyróżnienie w wysokości 500 zł za utwór pt. **„Kongresowa chusteczka"** podpisany godłem **„Wstępniak"**.

Po otwarciu kopert stwierdzono, że nagrody i wyróżnienia pieniężne otrzymują:

I. W dziale prozy —

a) 1. **ZBYSZKO BEDNORZ** („Róża") — Stalinogród, Batorego 2,
2. **DANUTA KUCHARSKA-ZARZYCKA** („Maria Artym") — Sosnowiec, Warszawska 1;

b) **JERZY STADNICKI** („Międzyzdroje") — Warszawa, Narbutta 82;

d) 1. **WANDA CHYLICKA** („Nihil novi sub Iove") — Warszawa, Targowa 19;
2. **BRONISŁAW MAMOŃ** („Prospero") — Lublin, Racławicka 16.

II. W dziale poezji —

a) **WACŁAW OLSZEWSKI** („Kronikarz") — Łódź, Struga 7;

b) **JÓZEF SZCZAWINSKI** („Domkowski") — Warszawa-Radość, Skorupki 16;

c) **ANDRZEJ PIOTROWSKI** („AKW") — Warszawa, Filtrowa 62;

d) **WANDA CHYLICKA** („Wstępniak") — Warszawa, Targowa 19,

Oprócz tego Jury postanowiło przyznać wyróżnienia książkowe:

I. W dziale prozy —

MARII ZIENTARA-MALEWSKIEJ (godło „Jarzębina"), Olsztyn, Waryńskiego 2 — za utwór pt. **„Światła wśród mroku"; WANDZIE ZAKRZEWSKIEJ** (godło „Sól"), Kraków, pl. Aksentowicza 3 — za utwór pt. **„Wspomnienia z młodości"; JERZEMU NOWAKOWSKIEMU** (godło „Próba"), Bydgoszcz, Świerczewskiego 28 — za utwór pt. **„Ucieczka"; RYSZARDOWI BRZOZOWSKIEMU** (godło „Repatriancka Nowa Huta"), Warszawa, Marszałkowska 15 — za utwór pt. **„Wśród nocnej ciszy"**, oraz **IZABELLI KOZIEBRODZKIEJ** (godło „Grosz"), Warszawa, Grażyny 3 — za utwór pt. **„Razem"**.

II. W dziale poezji —

MARII KOPROWSKIEJ (godło „Gdańszczanka"), Wrzeszcz, ks. Miszewskiego 18 — za utwór pt. **„Tryptyk zachodni"; JERZEMU BOGDANOWI KOSOWI** (godło „Ziemia"), Wrocław, Trzebnicka 58 — za część **„Wierszy"; HENRYKOWI BOHDANOWICZOWI** (godło „Warmia"), Olsztyn, Konopnickiej 7, za utwór pt. **„Kartki z kalendarza"; WŁODZIMIERZOWI KRZEMIŃSKIEMU** (godło „Cwiek"), Łódź, Nawrot 36, za utwór pt. **„Nasz powrót"** oraz **KAZIMIERZE PASZKIEWICZ** (godło Mira Korab), Warszawa, Francuska 22 za utwór pt. **„To jest mój kraj"**.

Uroczystość wręczenia nagród i wyróżnień odbędzie się w Warszawie, w niedzielę 30 maja br.

10.

LENOCH nie podejmował rozmowy. Kerton, całkiem już rozbudzony, liczył bezmyślnie sekundy: „raz, dwa, trzy, cztery, pięć..." Zacznie znowu czy nie zacznie? Do ilu zdążę doliczyć, zanim się odezwie?

Dotknął ręką ceratowych okładek zeszytu, schowanego pod poduszkę. Zapiekło w środku przypomnieniem.

„Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście... Jakoś długo się trzyma. Może zasnął?"

Spojrzał bokiem na leżącego w milczeniu Lenocha. Tamten bez najmniejszego skrępowania gapił się kolejno to na jego twarz, to na rąbek ceraty, sterczącej pod poduszką. „Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem... No, nareszcie!"

— Poruczniku Kerton, nuda nas tu zeżre. Obliczyłem już wszystkie sęki w deskach tej ściany koło mnie. Codziennie jest ich trzydzieści dwa. Paznokci już nie mogę czyścić. Mam ręce czyste jak anioł.

11)

Opowiedziałem sobie wszystkie filmy, jakie oglądałem ostatnio. Co robić? Bzika można dostać od tego.

Kerton milczał. Cieszył się swoją mizerną przewagą nad gadulstwem Lenocha. „Musi gadać. Jest skazany na mnie. Boi się ciszy. Ucieka przed milczeniem. Trzymam go w szachu dzięki zaciśniętym zębom. Niech gada, niech czuje swoją zależność".

— Słowo daję, że bzika można dostać. Ten mój żółty przyniósł mi jeszcze wtedy, kiedy pan majaczył, parę książek. To było jeszcze gorsze niż nic. Same radzieckie. Tłumaczone, ale radzieckie. Innych tu nie mają. Jakieś Erenburgi czy Oranienburgi. Mówię panu: istna tortura. Wyrzuciłem go z tym na zbity łeb. Teraz trochę żałuję, mógłbym się zająć liczeniem liter albo zdań. No, ale nie mogłem. Rozumie pan, nie mogłem. Ciągle o pracy, o bohaterstwie, o normalnej miłości. Tfu!

Kerton poruszył się lekko i mimowoli spojrzał pytająco w stronę sąsiedniego łóżka. Tamten przyjął to jako gest podtrzymania rozmowy. Monologował dalej.

— Żeby tak chociaż jedna książka Mickey Spillena, co? Panie, ten ma dryg, co? Jego Mike Hammer to mocny typ. Pamięta pan tę scenę w „Sądzie przysięgłych"? Miał rozwalić jedną taką babę. Tamta chce się ratować. Czym? Tym, co miała najlepszego. Rozbiera się po kawałku. Ciało — ekstra klasa. Istna Rita Hayworth. Ale Mike tylko przez chwilę zdrefił. Łupnął cacanego naguska i po krzyku. A „Pocałunek zmarłego" czytał pan? Też niezły kawałek. Albo ta „Samotna noc". A tu cholera, tylko te Oranienburgi czy jak ich tam!

Kerton wyczuwał już dośrodkowy ruch kołowaniny Lenocha. Nawet spojrzeniami nie wkraczał już w jego monolog.

— Z tą „Samotną nocą" to była głośna historia. Słyszał pan? Nie? To warto opowiedzieć. Znał pan tego dropiatego sierżanta Schieckinsa? Taki długi strączek miał zamiast nosa. I „Strączek" go nazywali. Któregoś dnia zrobił machlojkę ze strażnikami hangarowymi i bez rozkazu wyleciał na swojej maszynie. Wszyscy myśleli, że dezercja, albo gorzej. Ale „Strączek" tego samego dnia wrócił. Jak się okazało, był w Tokio, żeby przywieźć stamtąd właśnie „Samotną noc" Spillena. Dobre, co? Stawał przed sądem, ale skończyło się na naganie, bo wszystkie książki Spillena figurują na liście poleconych przez wydział propagandy i szkolenia. Miał chłop szczęście, nie?

Pytajniki nie angażowały Kertona. Przyzwyczaił się do ich retoryczności. Lenoch namyślał się przez chwilę, wreszcie zrezygnował z kłucienia, z okrążania jątrzącej go ciekawości.

— Pan, zdaje się, ma coś do czytania? Coś ciekawego? — Oczyma pokazywał ceratowe okładki zeszytu.

Kerton odruchowo niemal wydobył zeszyt spod poduszki. Poczuł nagle pokusę wciągnięcia Lenocha w krąg własnych trudności, zwątpienia i walk. „Niech przeczyta. Niech pozna. Zobaczę, jak będzie z nim. Niech przynajmniej wie." Zastanawiał się głośno nad odpowiedzią.

— Czy ciekawe? Bo ja wiem. To nie tak. Zresztą — ciekawe. Na swój sposób bardzo ciekawe.

Lenoch wyczuwając w jego głosie wahanie i chęć przyzwolenia, wyciągnął rękę.

— Można przejrzeć?

Kerton wychylił się z jasną już decyzją i wręczył Lenochowi zeszyt.

Przytulił twarz do poduszki i nie spuszczał oczu z czytającego.

Lenoch zatrzymał wzrok na pierwszej kartce, szybko dosyć ją odwrócił, dotknął poślinionym palcem i musnął wzrokiem następną, potem przeskoczył na trzecią.

„Teraz jest pewnie przy tych statkach" — obliczał w myśli Kerton, wpijając się wzrokiem w twarz Lenocha. Ale nie zdążył upewnić się w swoich obliczeniach, bo tamten znów przerzucił kartkę.

„To bydlę! Nawet nie czyta wszystkiego. Śpieszy mu się. No, teraz zatrzymał się chyba przy tej historii z kobietami. Jak one się nazywały?"

Lenoch jednak i na tej stronie przeczytał kilka zdań. Poślinił obficie palec i zaczął szperać w zeszycie, jak w książce telefonicznej. Szybko zmierzał do końca.

Kerton zacisnął bezradnie zęby. Coś go przerażało w tym bezceremonialnie ślinionym paluchu, w nonszalancji przewracania kartek. Lenoch na ostatniej stronie zatrzymał się jednak na dłużej. Przeczytał ją chyba w całości. Wreszcie odwrócił się ku Kertonowi.

— No, jest jakaś korzyść z tej lektury. Ten ostatni dopisek był robiony wczoraj. Jest pod nim dokładna data: 15 lutego 1952. Znaczy się, dzisiaj jest szesnasty. Nareszcie nie będzie nam się myliła kalendarzowa rachuba. Tylko czy oni liczą tak jak my?

Kerton widział wlepione w siebie, pytające oczy. Wydawało mu się, że Lenoch kpi.

— No, co, ciekawe?

Tamten w jednej chwili odrzucił maskę spokoju. Uniósł się na łokciach i krzyknął syczącym szeptem:

— Komunistyczne kłamstwa! Czerwony puc! Wariatów brać tym na bajer. Mnie nie nabiorą!

Zanim Kerton zdążył wychylić się z łóżka, zgniótł w dłoni zeszyt i ze wstrętem cisnął nim w przeciwległą ścianę, pod którą w kącie stał piec. Ostentacyjnie zaczął liczyć sęki w deskach przy swoim łóżku.

Kerton na moment znieruchomiał, poderwał się i oparł zniewolony ciężarem własnego ciała.

— Podnieś! Słyszałeś! Natychmiast podnieś!

Zdawał sobie sprawę z bezsensowności tego żądania. Lenoch miał przecież nogę w gipsie! Ale gdy przebiegło mu przez myśl, że w tej chwili mógłby wejść ten, który pisał list i zobaczywszy pognieciony zeszyt na podłodze przypuścić, że to jest jego jedyna odpowiedź, znowu zasyczał:

— Słyszysz, bandyto, podnieś, bo... bo powiem im o wszystkim.

Lenoch drgnął. W oczach zamigotał mu niepokój. Wskazał na kłodowaty opatrunek z gipsu.

Kerton sprężył w sobie wszystkie siły. Zwlókł nogi z łóżka. Dłonie zacisnął na jego poręczy. Napiął mięśnie łydek, odbił się tyłkiem od pościeli i stanął. Spłynęło po nim w dół śmieszne uczucie lekkości świata. Zacisnął zęby. Lewą nogę wysunął do przodu. Potem prawą. Puścił poręcz. Ściana stanęła nagle dęba. Piec zatańczył. Wszystko okłapło jak przekłuty balonik. Gdy czyjeś ręce podjęły go, skurczonego na podłodze, i wlokły ku łóżku, czuł się bezsilnym, małym człowieczkiem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Gdzie źródło błędu?

Jeszcze w sprawie „Mizantropa"

ZAPANOWAŁA u nas ostatnio moda na ostre, „zjeżdżające" recenzje. Nie byłoby to nawet tragiczne. Pasja, namiętność stanowi, jak wiadomo, wielką zaletę krytyki. Najwybitniejsi krytycy bywali nieprzejednani w naganach i entuzjastyczni w pochwałach. I w każdym razie sąd zdecydowany lepszy jest od unikania decyzji i oceny. Lecz dlaczego taka nagła stanowczość in minus i taka masowość negatywnych recenzji? We wszelkiej modzie tkwi zarodek niebezpieczeństwa. Przy modzie „chepiących" recenzji aż zbyt łatwo o krzywdę artysty, o krzywdę zwielokrotnioną.

Nasuwa się ta myśl po przeminięciu prasowych ech premiery „Mizantropa" w Teatrze Kameralnym. Czyżbym podzielał zatem odosobnioną niemal pozytywną ocenę Wiesława Kwiatkowskiego w nr 15 „Dziś i Jutro"? Albo czyżbym nie przyznawał racji wywodom Jana Kotta w „Przeglądzie Kulturalnym"? Ani jedno, ani drugie. Inscenizacja „Mizantropa" nie zadowoliła, to prawda, lecz od tego stwierdzenia daleko jeszcze do ryczałtowych odsądzeń, jakie wyczytaliśmy w jednym z warszawskich dzienników. Nawet najostrzejsza krytyka musi uwzględnić okoliczności związane z daną inscenizacją.

W sprawie „Mizantropa" trwa od wieków spór dotyczący samej istoty tej komedii, spór dotąd nie rostrzygnięty. W Polsce, jak wynika z artykułu St. Dąbrowskiego w programie, na sześć wystawień „Mizantropa" nie było jeszcze prawdziwie udanego. Warszawa zaś przed inscenizacją Warneckiego nie oglądała w ogóle tej komedii (pominąwszy dwie sceny z I aktu na poranku benefisowym B. Ładnowskiego w r. 1885). Co przy tym znamienne, ogół polskich wykonawców roli Alcesta kładł, podobnie jak Warnecki, nacisk raczej na dramatyzm aniżeli na komizm tej postaci.

Komedia czy dramat? Satyra na epokę i klasę czy dramat psychologiczny? — rozwiązanie w inscenizacji tej alternatywy należy do najtrudniejszych. W gruncie rzeczy bowiem nie jest to wcale alternatywa, rozwiązanie musi uwzględniać obydwa elementy. Lecz w jakiej proporcji? W jakim wzajemnym ustawieniu?

„Mizantrop" wydaje się dziś dramatem o sprawach wiecznie ludzkich, o konflikcie żywym w człowieku każdego pokolenia. Jest to konflikt między niezłomnym maksymalizmem etycznym, szczytną wolą maksymalnej prawdy i szczerości a nieuchronną koniecznością umiaru, pobłażliwości, kompromisu, jakich nieustannie żąda życie. „Mizantrop", którego bohater „mąż sprawiedliwy", kocha kobietę oddaną wszelkim próżnościom i snobizmom świata, staje się w ten sposób jakimś najbardziej wogólnionym dramatem egzystencji ludzkiej, obrazem „condition humaine" ważnym dla wszelkich epok.

Czy współczynnik historyczny traci przez to swe znaczenie? Bynajmniej. Zmierzch panującej klasy, ze szczególnie wówczas rozwielmożnionym snobizmem salonów, zrodził w ogóle „Mizantropa", pozwolił dojrzeć i uświadomić zasadniczy ludzki problem. Oczywiście poprzez obraz epoki chcemy w sztuce dojść do tej ludzkiej sprawy, a nie poprzez tę sprawę ilustrować epokę. Na szczęście — mimo silnego nacisku na tło epoki w artykule H. Voglera w programie — tego zarzutu historycznego ilustracjonizmu, nie mamy już tym razem prawa reżyserii postawić.

Sedno sprawy tkwi nadal we wzajemnym ustosunkowaniu w inscenizacji momentów komedii i dramatu. Można przecież dać komedię „krwawą", rozdzierającą — kto wie, czy taki tragiczny kontekst nie tkwił za „jaskrawym humorem", z jakim Molier grał swą w wysokim stopniu autobiograficzną komedię? I można też pojąć „Mizantropa", jak pojmował go Goethe, jako utwór bliski tragedii, i tak go grać, ozłacając jedynie tragizm uśmiechem współczującej, wyrozumiałej autoironii pisarza.

Nie zgodziłbym się z tymi krytykami, którzy twierdzą: jedni, że Warnecki nie ukazał komedii, drudzy — że dramatu, jeszcze inni wreszcie — że ani jednej, ani drugiego. Warnecki pamiętał, że „Mizantrop" jest zarazem komedią i dramatem, lecz nie wyraził tego w sposób dostatecznie organiczny.

Widz ma chyba w „Mizantropie" prawo sympatyzować — choć w nierównym stopniu — i z Alcestem, i z Celimeną, i z Filintem; Alcesta obdarzyć przy tym winien gorącym współczuciem. Dramat polega tu na samej nieuchronnej kolizji przeciwstawnych charakterów, na odmienności życiowych dążeń i ideałów. Lecz z tej samej kolizji wynika i śmiech tej komedii. Dotyczy on tych, ukazanych satyrycznie przez Moliera, przerostów w charakterach, które doprowadziły do kolizji: doktrynerstwa i przesadnej powagi Alcesta („ludzie nie myślą nigdy jak należy"), nieposkromionej zalotności Celimeny, metodycznej kompromisowości Filinta, oddalającej odeń przyjaciela. Każda więc z tych osób winna w spektaklu, prawdziwie jak w życiu, zyskiwać po trosze i sympatię, i uśmiech widza.

Lecz co zrobił Warnecki? Przeprowadził sztuczną linię demarkacyjną między komedią a dramatem. Przeprowadził ją nie poprzez dusze bohaterów, lecz niejako między osobami. Warnecki każe dramat reprezentować Alcestowi, obok którego czyni jeszcze pozytywnymi bohaterami utworu — chyba niesłusznie — Eliantę i Filinta; komedię zaś uosabiać ma cały pozostały światek salonów, przede wszystkim zaś — Celimena. Daje to obraz dość dziwny. Warnecki-Alcest grający zresztą i mówiący wiersz w moim odczuciu prawie nienagannie, porusza się po scenie z niewzruszoną powagą. Warnecki - reżyser nie pozwala w najmniejszym stopniu go ośmieszyć — nawet ze sceny z szalem i wstążką, którymi Celimena oplątuje w rozmowie swego niedźwiedzia, wychodzi obronną ręką. Była w tym metoda, lecz chyba błędna metoda. Doprowadziła ona do tego, że Alcest grał tu sobie — i sobie z konieczności musiała też grać Celimena.

Romanówna dała popis gry bardzo efektownej, skrzącej się bogactwem odcieni i modulacji, lecz w błyskotliwości tej zatraciła chyba prawdę żywej, mimo wszystko coś czującej i do czegoś w życiu dążącej kobiety. Jej Celimena, z góry potępiona przez reżysera musiała stać się już tylko negatywną bohaterką komedii o ukaranej zwodnicy. Taki tylko sens przypisze widz końcowej scence mimicznej, w której Romanówna ukazuje bezsilną złość opuszczonej przez wszystkich Celimeny. Jeśli „Mizantropa" odczuwamy dziś mimo wszystko raczej na poważnie, mogła go kończyć jedynie scena z oryginału z Filintem śpieszącym za Alcestem, aby przywrócić przyjaciela Mizantropa ludzkiej wspólnocie. Bohaterem arcydzieła Moliera nie jest bowiem ukarana zwodnica, lecz gwałtownik prawdy, co znienawidził świat za to, że nie dorósł on do jego o nim pojęć.

Obok sztucznego rozpołowienia inscenizowanego dzieła zaciążył na spektaklu jeszcze inny błąd i kto wie, czy nie uwarunkował on tamtego. Warnecki nie uległ pokusie ilustracjonizmu historycznego, uległ za to sugestii autobiografizmu. Jak większość reżyserów i odtwórców roli Alcesta nie umiał odmówić sobie nawiązania do osobistej tragedii pisarza. Przybrał nawet maskę Moliera jako odtwórcy tej roli. Za tym poszło i zgubne w skutkach przesunięcie wieku postaci. Można było ośmieszyć Alcesta, młodocianego zapaleńca, a równocześnie okazać trochę pobłażliwości dla salonowych podbojów młodziutkiej wdowy — z bohaterami posuniętymi w latach było to już trudniej. Trzeba było wynieść jednego na piedestał powagi i niezłomności, drugą — ośmieszyć i przekreślić.

Szkoda! Jak uroczy mógłby być spektakl „Mizantropa", w którym ujrzelibyśmy wreszcie młodego Alcesta i młodziutką Celimenę. Budziliby oboje i sympatię, i śmiech, i współczucie. Ujrzelibyśmy na scenie komedię i zarazem nieśmiertelny ludzki dramat. Szkoda, że wskutek błędnej koncepcji nie dał nam tego wszystkiego Warnecki. Lecz wytykając to pamiętamy, że prawie nie było dotąd — a najmniej w samej Francji — prób takiego śmiałego odmłodzenia „Mizantropa". I pocieszamy się nadzieją, że jakaś rychła nowa inscenizacja arcydzieła Moliera problem ten podejmie.

EDMUND MISIOŁEK

Janusz Warnecki i Janina Romanówna w „Mizantropie"

Listy do Redakcji

Do Redakcji „Dziś i Jutro"

W numerze 19 (441) „Dziś i Jutro" z dnia 9 maja 1954 r. został umieszczony mój artykuł pt. „Rozważania o poezji (Problem definicji i poznania)". Zmuszony jestem wyjaśnić, że ten artykuł przesłałem jeszcze przed trzema laty tzn. w r. 1951 ówczesnemu Redaktorowi działu literackiego i że w świetle współczesnych prac o literaturze i estetyce (m. in. Miedoszywina „Oczerki teorii iskusstwa" i Lefebvre'a „Contribution a l'esthétique") inaczej pojmuję zagadnienie poezji, aniżeli przed kilku laty.

STANISŁAW KOLBUSZEWSKI

*

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie następującego sprostowania. W nr. 17 czasopisma „Dziś i Jutro" z dnia 25 kwietnia 1954 r. w rubryce Przegląd czasopism recenzent E. J., omawiając ostatni numer pisma „Polonia Sacra" (nr 1 1954) zamieścił następującą ocenę mego artykułu o synodach krakowskich: „Na trzecim miejscu znajdujemy pracę ks. Bobera o „Nieznanych synodach dawnej diecezji krakowskiej wieku XVI i XVII". Artykuł referuje odkrycia dokonane przez krakowski Wydział Teologii w związku z przygotowaniami materiałów do przyszłego opracowania historii synodów krakowskich".

Z powyższego zdania wynika zasadnicza pomyłka recenzenta, który zapewne nie czytał lub źle odczytał wyniki zawarte w mej pracy. Autorem odkrytych przeze mnie synodów krakowskich nie jest ani Wydział Teologiczny w Krakowie, ani też nie przygotowuje tenze materiałów do przyszłego wydania synodów krakowskich. Dokonane odkrycia jak i praca związana z odnośnym wydaniem synodykonu diecezji krakowskiej są wyłącznie moim dziełem. Dlatego nie potrzebowałem referować tychże „odkryć" imieniem Wydziału ale referuję je we własnym imieniu.

Jestem przekonany, że na przyszłość recenzent będzie zgodnie ze stanem faktycznym referował wyniki innych mych prac w tymże czasopiśmie zamieszczanych.

Łączę wyrazy należnego szacunku.

w Krakowie dnia 27 kwietnia 1954 r.
Kraków, Mały Rynek 7—2.

X dr Piotr Bober

Z ZAGADNIEŃ TEATRU

10 LAT NOWEJ KRYTYKI I CO DALEJ?

JUŻ dziesięć lat trwa proces kształtowania się oblicza naszego nowego teatru. Od dziesięciu też lat rozwija się w Ludowej Polsce nowa krytyka teatralna. Jest więc chyba właściwa pora na dokonanie rachunku sumienia, na jakąś samokrytykę krytyki. Winna ona być ostra, ponieważ osiągnięć „nowej krytyki", jak dotąd, prawie że nie widać, a zamiast od lat postulowanego i oczekiwanego przełomu utrwaliła się zaledwie świadomość jego konieczności.

Co odziedziczyliśmy po krytyce teatralnej dwudziestolecia? Nic prawie, bo ani wybitnych twórców, ani metody. Znakomitych piór nie brakowało w dwudziestoleciu, wystarczy przypomnieć czołowe: Lorentowicza, Boya - Żeleńskiego, Irzykowskiego — zabrała je wojna. Metody krytycznej tamten okres nie wypracował. Świetne eseje i felietony wspomnianych już i wielu innych pisarzy: Wasilewskiego, Grzymały, Rzymowskiego, Słonimskiego — również na prowincji nie brak było interesujących piór — kontynuowały głównie typ jeszcze France'owskiej rozmowy czy przechadzki intelektualnej w duchu formuły o „przygodzie duszy wśród arcydzieł". Gdyby chociaż odskocznią do przygody bywał sam spektakl teatralny, praca inscenizatora, reżysera, scenografa aktorów. Lecz krytycy wychodzili na ogół od nagiego tekstu autorskiego i dając urocze i mądre eseje literacko - obyczajowe, stronę teatralną kwitowali beztroskim, niekiedy wprost nonszalanckim „post scriptum" poświęconym „wykonaniu". Boy długo nie wymieniał w swych recenzjach nawet nazwiska reżysera.

Nie, niewiele dało nam dwudziestolecie, choć już wówczas wołał Bohdan Korzeniewski (w „Scenie Polskiej", r. 1938) o tę chwilę, kiedy „wiedza o teatrze... wyjdzie poza szczupłe grono specjalistów i... narzuci właściwe metody krytyki teatralnej".

NOWĄ epokę zapoczątkowała w polskim teatrze władza ludowa. Nie mając dostatecznego dystansu, sami nie zdajemy sobie jeszcze w pełni sprawy z doniosłości tego zwrotu. Lecz rozszerzenie widowni; podniesienie poziomu ideowego repertuaru; nowy, bardziej zespołowy styl pracy w teatrze: podwyższenie przeciętnej poziomu artystycznego, sięgające aż na prowincję — wszystko to są sprawdzalne fakty. Oczywiście mamy tu przede wszystkim do czynienia z bezpośrednimi następstwami przełomu gospodarczo - społecznego i uchylenia w teatrze zasady komercjalnej. Nie brak było na pewno po wojnie doskonałych spektaklów w naszych teatrach, wypracowanych już nienagannie w duchu zespołowości, lecz na regularne osiągnięcia artystyczne, i najwyższej miary, nadal jeszcze czekamy.

Lecz w związku z tym nasuwa się pytanie: czy powojenna krytyka teatralna inspiruje już dostatecznie teatr w duchu twórczego maksymalizmu; czy wyprzedza rozwój teatru? Odpowiedź nie wypada, jak dotąd, pozytywnie: krytyka dotychczasowa raczej podążała za rozwojem teatru, nie zdobyła jeszcze tej pionierskiej pozycji, jaka przysługuje krytyce prawdziwie twórczej. Spróbujmy przyjrzeć się ewolucji, której podlegała krytyka po wojnie.

Pierwsze recenzje powojenne — i krakowskie bardziej może niż łódzkie — nawiązywały na ogół do dawnej tradycji felietonu krytycznego. Strona literacka zajmowała tu wiele miejsca, choć impresyjność ustępowała na ogół tendencji racjonalistycznej. Linię boy-owskich gawęd obyczajowych utrzymywał najkonsekwentniej Tadeusz Breza.

Wkrótce jednak, już w r. 1946, rozległy się pierwsze wołania o nową recenzję teatralną. Żądano obiektywnego sprawozdania z widowiska, fachowej krytyki wszystkich elementów, z dobitnym wyróżnieniem tezy spektaklu, myśli autora, inscenizatora, reżysera.

Od postulatów do ich wprowadzenia w życie — droga okazała się daleka.

Najwcześniej, choć i to nie bez oporów (zwłaszcza przeciw zbyt pospiesznej aktualizacji), zrealizowano postulat gruntowniejszej ideowej oceny widowiska.

I na krytyce teatralnej odbijała się ostra faza walki klasowej końca lat czterdziestych. Odbijała się pewnym zasadniczym przełomem ideowym, lecz i nieuchronnymi przerostami, które nie mogły nie zaważyć na sztuce.

Popadnięto bowiem rychło w przesadę. Powstawały recenzje nieumiarkowanie socjologizujące, w których więcej niż połowę szpalt zajmował opis podłoża historyczno-ekonomicznego... sztuki. O ile pod piórem krytyków z artystyczną kulturą opis taki mógł wzbogacać i ożywiać obraz spektaklu, u większości recenzentów stawał się on niezawsze nawet osobiście przeżytym, nudnym, schematycznym szkolarstwem. W tym środkowym okresie dziesięciolecia powstały na ciele naszej dramaturgii, lecz również i teatralnej krytyki, owe znane złośliwe nowotwory, przerosty i wykrzywienia, często sprzeczne z samym duchem sztuki i jej humanistycznej służby. Dominującą do niedawna, lecz często b. ciekawą „literacką" część recenzji zastąpiła w ten sposób nierzadko wulgaryzująca, prawie zawsze kobylasta część „socjologiczna", nadal niezwiązana istotniej z artyzmem przedstawienia.

W lepszych wypadkach recenzenci dzienników usiłowali stwarzać w swych artykułach miniaturę regularnej krytyki z pism fachowych. Krytykę tę, której reprezentantów z trudem wyliczyć było można na palcach jednej ręki, cechowała większa gruntowność teatrologiczna, dążenie do ścisłej jednoznaczności pojęć oraz w znacznym stopniu sprawdzalność sądów. Lecz i ta krytyka, ze szczytów, miała swą słabą stronę: wyrosła w kręgu szkolnictwa teatralnego, była też zbyt „akademicka", zbyt „profesorska", dziwnie przypominała krytykę pseudoklasyków warszawskich. Przeceniała możliwości „miary i wagi" w ocenie żywego tworu, jakim jest spektakl, rozbudowywała zbytnio analizę kosztem syntezy budząc złudzenie, jakoby można oddać istotę przedstawienia przez — choćby nawet i najbardziej wyczerpujący — opis jego elementów. Wzorem do naśladowania w gazetach ten typ krytyki być nie mógł.

Mimo wszystko recenzencka praktyka dziesięciu powojennych lat oraz kilkakrotnie wznawiane ankiety, dyskusje, zjazdy (sesja wawelska) poświęcone krytyce teatralnej nie pozostały całkowicie bez owoców. Świadomość roli momentu historycznego, funkcji społecznej teatru przeniknęła chyba na dobre do krytyki. Rozbrat z krytyką subiektywistyczną, dążenie do większej ścisłości sądów — stały się również zjawiskiem powszechnym.

Dalszy krok naprzód w zarysowaniu nowoczesnej metody krytycznej oznaczała praca Konstantego Puzyny w nr 1 „Pamiętnika Teatralnego" z 1952 r. Do postulatu analizy wszerz (E. Csato) Puzyna dołączył ważniejszy jeszcze postulat analizy w głąb, postulat skupienia uwagi na elementach konstytutywnych spektaklu związanych z ideą główną dzieła i nurtem przewodnim akcji, całościowego traktowania inscenizacji z punktu widzenia: funkcji poszczególnych elementów w całości spektaklu, funkcji wydarzeń spektaklu w postępie historii, funkcji ideowej spektaklu w współczesnym społeczeństwie. Z całą dobitnością podkreślił też Puzyna postulat jednolitości recenzji, zniesienia przegrody między częściami poświęconymi z jednej strony sztuce, z drugiej „wykonaniu".

ZARYSOWANA tak najogólniej metoda krytyczna nie tylko ma wielorakie powiązania z prawami dialektyki, lecz wyraża po prostu zdrowy metodologiczny sens i rzeczywistą praktykę najlepszych krytyków teatru. Podkreślając silniej moment syntezy sprzyja ona również ukształtowaniu nawet krótkiej gazetowej recenzji z punktu widzenia artyzmu. Temu zagadnieniu, jako bodajże węzłowemu w obecnej fazie, fazie stabilizacji nowego ustroju, należy się szczególna uwaga.

*

ŻĄDANIE artyzmu wysuwamy w związku z krytyką teatralną w dwojakim sensie.

Najpierw domagamy się od krytyki, aby była artystyczna w tym znaczeniu, żeby wnikała istotniej w artystyczną specyfikę teatru: w inscenizację i reżyserię, scenografię wraz z grą światła i muzyką, w subtelności gry aktorskiej. Domagamy się, aby również odsłaniając myśl ideową spektaklu, krytyk ukazywał ją poprzez formę sceniczną, w której się ona przejawiła. To jest właśnie pierwszy aspekt artyzmu krytyki teatralnej, aspekt dotyczący teatralnego „co". Pozostaje on u nas nadal zaniedbany. Z powodzeniem realizuje go dotąd w Polsce zaledwie kilku krytyków i recenzentów.

W tym miejscu powstaje pewne szersze zagadnienie: miejsca krytyki w ogóle, a krytyki teatralnej w szczególności, w systematyce kultury. Wokół tej sprawy zapanowało w okresie powojennym wiele nieporozumień, stworzono nawet przedziwne i misterne dylematy. Jeden z nich wyraża się w pytaniu, czy krytyka jest twórczością naukową czy artystyczną. Jest to dylemat pozorny, lecz bodajże jego właśnie sugestia najwięcej przyczyniła się do powojennego zahamowania teatralnej krytyki.

Dylemat: nauka czy twórczość artystyczna? — rozstrzygnięto po wojnie niemal bez argumentacji na rzecz nauki. Nie tylko u nas. Jeszcze niezbyt dawno temu pisał w „Theater der Zeit" wybitny krytyk wschodnio - niemiecki Fritz Erpenbeck. *„Krytyka teatralna nie jest — jak twierdzi dekadencka mieszczańska teoria sztuki — działalnością w pierwszym rzędzie artystyczną, lecz naukową. Od krytyka żąda się dziś, aby posiadł wiedzę o organizacji badanego przez siebie świata zjawisk („Einsicht in die Organisation des Objekts") i umiał wykazać tę wiedzę w swej krytyce".* Doprowadzając pogląd Erpenbecka do przesady zaczęto w NRD, podobnie jak i u nas, bezceremonialnie stosować naukowe metody socjologii do dzieł piękna. Zapominano, że odpowiednio do swoistości dzieł sztuki jako przedmiotu badania naukowość krytyki ma swój charakter odrębny. Że do wiedzy, którą można nabyć, dołącza się tu moment wrodzonej artystycznej wrażliwości i dopiero z ich połączenia powstaje swoiste poznanie właściwe krytyce artystycznej. A przecież do wiedzy i wrażliwości winna u krytyka dołączyć się jeszcze umiejętność sugestywnego, możliwie literackiego przekazywania wyników swych wrażeń i ocen. Jeśli pojmiemy szerzej sformułowany kiedyś w tomizmie postulat gnozeologiczny „cognitio — secundum naturam cognoscendi" zrozumiałe jest żądanie, aby pisać pięknie o pięknie. Pięknie w sensie języka, stylu, kompozycji. Tak doszliśmy do drugiego zapoznanego po wojnie, aspektu artyzmu krytyki teatralnej, tego który odnosi się do „jak", do ujęcia i formy literackiej recenzji.

Wydaje się, że w tej dziedzinie krytyka powojenna ma na swym sumieniu najwięcej grzechów. Wytworzył się pewien nieznośny — swą sztywną pryncypialnością i uniformizmem — schemat recenzencki, zaprzeczający wszelkiej fantazji i niespodziance. Zanikły różnorodne formy ujęcia recenzji: szkic studium, felieton, polemika, pozostała tylko jedna szara forma „artykułu": dość akademickiego w pismach fachowych, w złym sensie publicystycznego — w prasie codziennej. Sugestia źle pojętej „naukowości" sprawia, że wartość poznawczą skłonni jesteśmy przypisywać jedynie owym szarym, monotonnym elaboratom. „Francuzi Północy", przechylamy się nagle ku złym tradycjom niemieckiej ciężkości, zapominając nauk Boya, że lekkość bynajmniej nie potrzebuje być synonimem pustki, że za naszą krytyką winna się kryć solidna wiedza o przedmiocie, ściślejsza niż u recenzentów przedwojennych, lecz że wcale nie trzeba rozwijać erudycji na każdym kroku. Jeśli krytyk jest również artystą o ponętnym stylu, nie znaczy to jeszcze, że jest płytkim, mieszczańskim felietonistą schlebiającym publiczności. Na pewno nie wrócimy już do rozrywkowej, hedonistycznej formy krytyki teatralnej, lecz nie ma żadnego powodu, aby poznawcza, społeczna, wychowawcza wartość naszych krytyk musiała iść w parze z nudą i monotonią. Stąd postulat pluralizmu w krytyce, różnorodności i treściowej, i formalnej recenzji nabiera dziś szczególnego znaczenia.

JUŻ w r. 1946 domagano się słusznie, a bezskutecznie szerszego wachlarza form i ściślejszego zróżnicowania punktów widzenia poszczególnych krytyków. Wyczerpujących teatrologicznych recenzji słusznie oczekiwać mamy prawo w pismach fachowych, podczas gdy w pismach literackich spodziewamy się większego nacisku na stronę literacką, dramaturgiczną, a w dziennikach najchętniej przeczytamy bardziej swobodny felieton społeczno-obyczajowy. Żądanie takiej specyfikacji należy dziś przypomnieć i rozszerzyć. Trzeba pogodzić się z faktem, że różnorodnych zagadnień, jakie nasuwa widowisko teatralne, nigdy nie wyczerpiemy. Stąd recenzje, zależnie od charakteru sztuk, muszą z konieczności i doskonale mogą, mieć rozmaite dominanty problemowe (światopoglądową, etyczną, społeczną, narodową) i rozmaite ujęcia formalne, nie wyłączając eseju, felietonu, polemiki.

Oczywiście nie wolno cofać się wstecz, zatracać tych cennych pozycyj, które przy wszystkich popełnianych błędach, już zdobyliśmy: zwiększonej troski o ideowy i wychowawczy sens widowiska, uwzględniania w sposób szczery i twórczy momentu historyczno-społecznego. Równie ważne jest jednak, aby nawet najlżejszy felieton teatralny osnuwany był zawsze na kanwie rzetelnego i sprawdzalnego artystycznego obrazu widowiska. Felietonista może nie wyczerpywać obrazu strony warsztatowej, nie wolno mu jednak — jeśli dba o kulturę teatralną nowego widza — wykrzywiać przez dowolność i subiektywizm sądów artystycznej, a przez to też ideowej prawdy spektaklu.

Są znaki na niebie i ziemi, że zanosi się na poprawę stanu naszej krytyki. Recenzje Kotta w „Przeglądzie Kulturalnym", cokolwiek można by im przyganić, wracają do lepszych tradycyj pięknej formy literackiej i ostrej pointowości problemowej, nie opuszczają też na ogół terenu teatru, zawierając często ciekawe polemiki z inscenizatorami. Krytyka zaczyna znowu przejawiać inicjatywę, inspirować teatr. To już nie byle co. Tak się zaczyna dziać w praktyce recenzenckiej. Trzeba też zanotować przewrót zainicjowany na ostatnim posiedzeniu Rady Kultury. Jakiś ożywczy powiew przelatuje również nad krytyką teatralną. Wydaje się on dobrze dopełniać jej dziesięcioletnich perypetii w Polsce Ludowej i być obiecującą zapowiedzią dla nowego dziesięciolecia.

ANDRZEJ ODNOWA

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa, Marszałkowska 3/5. Zam. 1151
5-B-150060

Z WYSTAWY PLASTYKI CZECHOSŁOWACKIEJ

Józef Manes — portret Luizy Belskiej

Adolf Kocarek — Krajobraz czeski

Adolf Zabransky — Ilustracja do „Starych Roczników Czeskich". Rysunek węglem.

WACŁAW GLUTH NOWOWIEJSKI

W KRĘGU MUZYKI CZECHOSŁOWACKIEJ

ROK bieżący, jak wiemy, jest rokiem jubileuszowym muzyki czechosłowackiej. Zbiegły się akurat rocznice: 70 i 50 śmierci Smetany i Dworzaka oraz setna urodzin Janacka.

Twórczość Bedricha Smetany odgrywa wyjątkową rolę w historii muzyki czeskiej. Świetny rozwój muzyki czeskiej po klęsce na Białej Górze w r. 1620 i utracie niepodległości zostaje gwałtownie zahamowany. Najlepsi kompozytorzy czescy emigrują z kraju, tworząc dzieła na obczyźnie. G. A. Bend działa w szkole berlińskiej, Stamic w manheimskiej. Cernohorsky, Vanhall, Pichl, reprezentują kulturę niemiecką. Po przeszło dwu wiekach milczenia narodowej muzyki czeskiej dopiero Smetana wskrzesza najlepsze jej tradycje.

Smetana — neoromantyk, wielbiciel Liszta i Wagnera, propagator idei muzyki „programowej", wypowiada się w poematach symfonicznych jak „Ryszard III", „Ma Vlast", w utworach kameralnych i operowych zdobywając większą popularność operą: „Sprzedana narzeczona" i tragicznym kwartetem smyczkowym: „Z mojego życia". Zachowując w swych kompozycjach formę i środki techniczne zachodnio-europejskie, wprowadza narodowy pierwiastek czechosłowacki Pierwiastek ten stanowi o istotnych wartościach sztuki, Smetany.

Źródłem jej powodzenia jest muzyka ludowa — zbiór melodii skocznych i roześmianych, smętnych i spokojnych — żywe odbicie temperamentów i nastrojów ludu czeskiego i słowackiego. W okresie klęski politycznej Czech, upadku sztuki rodzimej i kulturalnej agresji Niemiec, tuła się przyciszona pieśń ludowa w zagrodach wiejskich, przy rzemieślniczych warsztatach, w ustach przędzących dziewcząt. Odkryta przez Bedricha Smetanę, wpleciona w motywy i melodie jego kompozycji, stając się wyrazem ich i barwą, nadaje im specyficzny, narodowy charakter. Odtąd śpiewka folkloru wiejskiego i miejskiego przenika do twórczości o bardziej skomplikowanych środkach i formach, odzywa się w poematach symfonicznych, kameralnych, operze. Ujęta w ramy uwertury czy symfonii przekroczywszy granice kraju, zdobywa prawa obywatelskie na całym świecie Przejęta i udoskonalona przez Dworzaka śpiewa w jego sonatach dumką czy furiantem, odzywa się polką czy rejdową. Testament Smetany znajduje bowiem godnego spadkobiercę w osobie Dworzaka. Ósmy syn rzeźnika Franciszka, Antoni, sięga po buławę marszałkowską. Występując we wrogim Smetanie obozie klasycyzujących tradycjonalistów (z Brahmsem na czele) czerpie przecież z tych samych źródeł muzyki ludowej. Dlatego, mimo różnych środków technicznych, jakich używają, mimo przepaści, którymi oddzielają ich od siebie zwolennicy jednego czy drugiego obozu — Smetana i Dworzak przemawiają tym samym językiem muzycznym. W ostatnim okresie twórczości (amerykańskim) przeszedł zresztą Dworzak na programowość opuszczając obóz Brahmsa. Wtedy też tworzy swe najdoskonalsze, najpełniejsze kompozycje. Muzyka ta choć wypełniona narodową treścią, pierwiastkami pieśni zamkniętego rejonu jest mową dostępną wszystkim nacjom, sztuką o ogólnoludzkich, nieprzemijających wartościach Dowodem tego staje się postanowienie Światowej Rady Pokoju zalecające w 1954 roku obchodzenie (obok jubileuszów Arystofanesa, Fieldinga i Czechowa), pięćdziesięciolecia śmierci Antoniego Dworzaka, jako jednej z wybitnych postaci historii kultury światowej. Rzeczywiście Dworzak potrafił wspiąć się na szczyty mistrzostwa Potrafił prostymi środkami pięknie określić miłość do człowieka i natury, całą swą humanitarną, prawdziwie ludzką postawę. Stworzył sztukę żywą, silną, przemawiającą, będącą odbiciem własnych bogactw wewnętrznych, radości, optymizmu Jego symfonie, opery, rapsodie i tańce słowiańskie, a przede wszystkim mistrzowskie kwartety mówią o tym same

Twórczość Smetany, Dworzaka i Janaczka przedstawiciela muzyki morawskiej, odgrywającego nowatorską rolę podobną Mussorgskiemu w Rosji, wyrasta ponad twórczość innych kompozytorów czechosłowackich. Ani Fibich, niezbyt fortunnie nazwany czeskim Wagnerem, ani Foerster, czy uczniowie Dworzaka: Novak, Suk i inni nie potrafią dorównać trzem mistrzom wypełniającym wiele kart kroniki muzycznej Czechosłowacji. Nic też dziwnego, że obchody tegorocznego jubileuszu Smetany, Dworzaka i Janaczka zapowiadają się specjalnie atrakcyjnie.

Uroczystości, nad którymi patronat objęli: Antonin Zapotocky i Zdenko Nejedly, rozpoczęły się otwarciem międzynarodowego festiwalu muzyki czechosłowackiej, tak zwanej „Wiosny Praskiej", odbywającego się corocznie w maju. W tym roku festiwal zgrupował szereg wybitnych artystów krajowych i zagranicznych. Poza hołdem oddanym twórczości jubilatów był on zarazem przeglądem ogólnego dorobku muzyki czeskiej.

Praskie „Narodne Divadlo" wystawia serię oper, prezentując czeską twórczość operową, a związek kompozytorów organizuje międzynarodową konferencję, poświęconą twórczości Dworzaka. Urządza się prelekcje, specjalne audycje radiowe, wystawy. Czechosłowacki związek lutników szykuje krajowy konkurs lutniczy i wystawę dawnych instrumentów, wykonanych przez słynnych lutników czeskich. W wielu krajach obchodzi się tydzień muzyki czechosłowackiej. „Tańce słowiańskie" Dworzaka, czy „Sprzedaną narzeczoną" — Smetany posłyszeć można w głośnikach radiowych z różnych części świata.

Tymczasem dzień dzisiejszy przynosi ciągły rozwój muzyczny w Czechosłowacji. Mówi o tym ilość szkół muzycznych, oper, sal koncertowych, orkiestr, chórów, zespołów zawodowych i amatorskich — cała statystyka czechosłowackiego życia muzycznego. Mówi o tym powszechność, z jaką przyjmuje się tę sztukę, powszechność, która znosi sztuczne bariery dzielące muzykę na pożywkę dla wybranych i strawę dla mas.

Ten obiecujący rozwój każe przypuszczać, że jubileuszowy rok muzyki czechosłowackiej nie jest już tylko rachunkiem przeszłości, zadumą nad grobem mistrzów.

KILKA SŁÓW

o plastyce

CENNY DAR INDII DLA POLSKI

14 maja br. ambasador Republiki Indii p. K. P. Sivesankara Menon przekazał na ręce ministra Kultury i Sztuki W. Sokorskiego dar rządu Republiki Indii dla rządu PRL w postaci 21 dzieł malarstwa hinduskiego.

W czasie uroczystości min. Sokorski podkreślił ogromne zainteresowanie społeczeństwa polskiego wybitnymi osiągnięciami sztuki hinduskiej, zaś ambasador Menon wyraził radość z możności przekazania daru, będącego wyrazem przyjaźni i szacunku jakie naród hinduski żywi dla narodu polskiego.

WYSTAWA PRAC UCZNIÓW SZKÓŁ PLASTYCZNYCH W SOFII

W ostatnim czasie w Sofii duże zainteresowanie wzbudziła wystawa prac uczniów szkół plastycznych. Obok obrazów i rzeźb młodociani twórcy pokazali pięknie haftowane obrusy, lalki ludowe, koszyki oraz wiele innych artystycznie wykonanych przedmiotów.

Wystawione rysunki i obrazy w przeważającej części przedstawiają sceny z życia dzieci, jak zabawy na koloniach letnich czy też godziny spędzone przy pracy w domu lub w szkole.

W dziale rzeźby najbardziej dojrzałym dziełem była praca 12-letniego ucznia Aczkowa zatytułowana „Przed egzekucją".

WĘGIERSKIE NAGRODY ARTYSTYCZNE I LITERACKIE

Rząd węgierski przyznał ostatnio państwowe nagrody artystyczne i literackie. Wśród wyróżnionych należy przede wszystkim wymienić Miklosa Borsosa nagrodzonego za wybitne osiągnięcia w dziedzinie sztuki medalierskiej, Andrasa Mihały za koncert na wiolonczelę, pianistę Istvana Antala za interpretację utworów Franciszka Liszta na fortepian, aktorkę Manyi Kiss za doskonałe interpretacje filmowe oraz Lajosa Apriły za tłumaczenie „Eugeniusza Oniegina" Puszkina.

o muzyce

CZY BĘDĄ U NAS TEATRY MUZYKI?

Od dość dawna istnieją już za granicą tzw. Teatry Muzyki. Są to wielkie, specjalnie przystosowane dźwiękowo sale, w których odbywają się przez cały dzień koncerty z płyt gramofonowych i taśm magnetofonowych.

Ostatnio rozlegają się u nas głosy, domagające się założenia Teatrów Muzyki, zwłaszcza wobec faktu złej dystrybucji płyt gramofonowych i chronicznego braku płyt w sklepach z nowymi nagraniami.

Warto nadmienić, że z okazji tegorocznej podwójnej rocznicy Smetany (70-lecie śmierci i 130-lecie urodzin) w Pradze czeskiej wystawiono w Teatrze Muzyki wszystkie jego dzieła, począwszy od kompozycji stworzonych w wieku dziecięcym, aż do ostatniego fragmentu jego „Violi". Tego rodzaju cyklu utworów słynnych kompozytorów miłośnicy muzyki nie mają możności nigdzie usłyszeć poza Teatrem Muzyki. Byłby czas, aby i u nas pomyślano poważnie nad otwarciem takiego teatru.

WYŚCIG POKOJU — TEMATEM OPERETKI

W „Metropol-Theater" w Berlinie odbyła się ostatnio prapremiera operetki pt. „Co roku w maju".

Autorami są — Peter Bejach i Herbert Kawan. Jest to, jak stwierdzają recenzenci, nad wyraz udany spektakl, wesoły i pogodny, propagujący ideę braterstwa między narodami.

Tematem operetki są przeżycia sportowca-kolarza, biorącego udział w Wyścigu Pokoju. Akcja rozgrywa się w małym miasteczku, w którym licznie zgromadzona publiczność oczekuje na tzw. „lotnym finiszu" przybycia trzech czołowych kolarzy: Polaka, Anglika i Włocha. Bohaterami są sportowcy wszystkich narodów — jest tam niemiecki kolarz, rumuńska dziennikarka sportowa, włoski sędzia i polski mistrz szosowy. Ze sceny rozbrzmiewają oryginalne melodie ludowe — niemieckie, polskie, czeskie, angielskie, rumuńskie i włoskie. Oryginalną kompozycją, która stanie się na pewno wkrótce popularnym „szlagierem" — jest „Marsz narodów", grany w finale operetki.

Warto by, aby nasz Centralny Zarząd Teatrów zainteresował się możliwością zaprezentowania tej operetki polskiej publiczności.

DWA NOWE ZESPOŁY „PODLASIE" I „KURPIE"

3 maja br. odbył się w Białymstoku pierwszy występ nowego zespołu pieśni i tańca — „Podlasie". Zadaniem „Podlasia" będzie popularyzowanie oryginalnego folkloru podlaskiego, regionalnego stroju, pieśni i tańca.

W pierwszym programie — publiczność białostocka zapoznała się z oryginalną twórczością ludową dawnej Ziemi Podlaskiej — zwanej dziś Białostocczyzną: pieśni i tańce podlaskie było dość trudno odszukać, gdyż powoli zanikają one w pamięci ludności wiejskiej. Tym większą jest to zasługą twórców „Podlasia", że po nie sięgnęli i wykorzystali ich oryginalne piękno. Kierownikiem artystycznym „Podlasia" jest St. Jeżak, kierownikiem choreograficznym — prof. Januszkowski i kier. literackim — Z. Dąbrowski.

Drugim wydarzeniem w Białymstoku jest powstanie nowego zespołu „Kurpie", pod kierunkiem prof. Sobierajskiego z białostockiej ORZZ. W chwili obecnej zespół nie jest jeszcze całkowicie gotowy do wystąpów, trwają prace nad przygotowaniem baletu do pierwszych „spotkań z deską sceniczną" — chór natomiast już występuje, z dużym powodzeniem i często.

o teatrze

NOWY „TEATR NA ŻOLIBORZU"

otwarty został w nowym gmachu pod kierownictwem artystycznym Wandy Padwy oraz literackim Z. Gozdawy, W. Stępnia i T. Żeromskiego. Pierwszy program pt. „Nareszcie otwarcie", łączący bez konferansjerki muzykę, śpiew, taniec i satyrę, wyreżyserował J. Wyszomirski, oprawę scenograficzną opracował J. Kosiński, stronę choreograficzną — W. Borkowski i L. Wójcikowski. Zadaniem nowej placówki ma być m. in. tworzenie wzorców programowych i wykonawczych dla objazdowych zespołów „Artosu". Tymczasem wydaje się ona jeszcze jednym teatrzykiem estradowym (z udziałem m. in. Kwapiszewskiej, L. Wysockiej, Lengrena, Serenin) o raczej przeciętnym poziomie i pozbawionym choćby miniaturowych form ściślej teatralnych.

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY W PARYŻU

W Paryżu w dniach od 10 do 25 lipca w teatrze Sary Bernhardt odbędzie się Międzynarodowy Festiwal Teatralny. Na Festiwal ten zostały zaproszone wszystkie kraje, które mają bogatą tradycję teatralną. Do tej pory wiadomo już, że zaproszenie przyjęli artyści 12 krajów

Między innymi w Paryżu wystąpi zespół Bertholda Brechta z przedstawieniem „Mutter Courage". Gino Cervi wystawi z „Cyrano de Bergerac" Rostanda a Ny Teater z Kopenhagi da przedstawienie „Cyda" Corneilla w inscenizacji Gabriela Axela, ucznia Jouveta. Artyści tego ostatniego teatru są zaniepokojeni, ponieważ z „Cydem" wystąpi także warszawski „Teatr Polski".

Zespół im. Lope de Vega wystawi „Życie jest snem" Calderona, egipski teatr narodowy „Świętoszka" Moliera a w wykonaniu angielskiego teatru publiczność paryska będzie mogła obejrzeć sztukę „Tajny Agent" Eliota.

„OSTATNIA OFIARA" OSTROWSKIEGO

w inscenizacji i reżyserii dyplomanta PWST, znanego aktora Władysława Sheybala jest najnowszą premierą (prapremierą na polskiej scenie stałej) Teatru „Ateneum". Przedstawienie odznacza się bardzo wyrównanym poziomem wykonania i trafnym wyczuciem stylu Ostrowskiego, którego wierność realityczną uzupełnia Sheybal niekiedy ostrzejszymi akcentami farsowymi. Główne role grają z powodzeniem Antonina Gordon-Górecka (Julia), Jerzy Śliwiński (Dulczyn) i Lucjan Dytrych (Flor). Jako następną premierę zapowiada „Ateneum" nową sztukę swego kierownika artystycznego Janusza Warmińskiego pt. „Chwasty".

KOMEDIA M. SŁOMCZYŃSKIEGO W ROSTOCKU

Volkstheater w Rostocku (NRD) gra w reżyserii Hansa A. Pertena z wielkim powodzeniem komedię Macieja Słomczyńskiego, będącą satyrą na świat filmowy Hollywood. W jej akcji do rąk holiwoodzkich reżyserów dostaje się scenariusz z życia Szopena, z czego wynikają najrozmaitsze powikłania, zwycięża jednak w końcu sztuka. Szopena gra Kurt Schmitt-Mainz, gwiazdę filmową Sullivan — Helene Reuter.

REKOPIS NIEZNANEGO DZIEŁA MOLIERA

odkrył rzekomo psychiatra z Liege i zamiłowany bibliofil, dr Henusse. Manuskrypt stanowi jednoaktówkę wierszem zawierającą dwie repliki pojawiające się również w sztukach z 1666—67 „Melicerte" i „Le Sicilien" — to jest jedyna podstawa „odkrycia", które Henusse, przygotowujący publikację z własnym obszernym komentarzem, trzyma w najściślejszej tajemnicy. Brukselski Theatre des Galeries przewiduje, jako wielką galę francusko-belgijską, premierę rzekomego dzieła Moliera, której dopełni publiczna dyskusja na jego temat. We Francji panuje raczej sceptycyzm w tej sprawie.

o filmie

AZJATYCKI FESTIWAL FILMOWY

W okresie od 8 do 20 kwietnia odbywał się w Tokio Festiwal Filmowy, w którym wzięły udział wyłącznie kraje południowej Azji. Organizatorem tej imprezy jest Związek Producentów Filmowych Azji W festiwalu wzięły udział kinematografie Japonii, Indonezji, Syjamu, Filipin. Festiwal stał się wielką manifestacją przeciw zalewowi filmów amerykańskich i ostentacyjnie został zorganizowany właśnie w tym czasie, kiedy w Tokio odbywał się przegląd produkcji Hollywoodu.

„CZERWONE I CZARNE" NA EKRANIE

W niedługim czasie francuscy filmowcy przystąpią do realizacji filmu opartego na słynnej powieści Stendhala „Czerwone i czarne". Scenariusz napisali — Jean Aurenche i Pierre Bost. W rolach głównych wystąpi para popularnych aktorów francuskich Danielle Darrieux i Gerard Philipe.

TROCHĘ RÓŻNYCH CIEKAWOSTEK FILMOWYCH

Czy wiecie, że:

Cesare Zavattini, autor „Złodziei rowerów" oraz „Rzymu godz. 11", pisze obecnie scenariusz o życiu dzieci w Europie.

*

Po przełamaniu wielu przeszkód marzeniem dojść do sfilmowania w Anglii znanej sztuki Shawa „Milionerka". W roli głównej wystąpi popularna amerykańska artystka filmowa — Katarzyna Hepburn. Film reżyserować będzie również Amerykanin — Preston Sturges.

*

W moskiewskim studio filmowym jest już na ukończeniu film „Szkoła odwagi" wg. powieści znanego pisarza radzieckiego A. Gajdara. Film reżyserują: W. Bażow i M. Korczajew.

*

Wg. słów recenzenta austriackiego pisma „Volksstimme" mają być filmowane premiery wiedeńskiego „Burgtheater". Obecnie trwają prace nad sfilmowaniem „Wesela Figara".

o wszystkim

PROTEST FRANCUSKICH DZIAŁACZY KULTURY PRZECIW SZYKANOM WOBEC RADZIECKICH ARTYSTÓW W PARYŻU

W związku z zakazem występów artystów baletu radzieckiego, wydanym przez rząd francuski — rząd ZSRR postanowił odwołać artystów radzieckich z Francji Artyści ci udali się obecnie do Berlina.

52 wybitnych pisarzy i artystów francuskich opublikowało oświadczenie zawierające protest przeciwko decyzji rządu, który zakazał występów baletu radzieckiego w Paryżu. „Postępowanie wobec artystów radzieckich — głosi oświadczenie — stanowi dziwną odpowiedź na serdeczne przyjęcie okazane w Moskwie przedstawicielom kultury francuskiej".

Wśród intelektualistów, którzy podpisali oświadczenie znajdują się François Mauriac, J. P. Sartre i inni.

DWIE CIEKAWE POWIEŚCI OPARTE NA TEMATYCE BIBLIJNEJ

W Belgii ukazała się ciekawa książka oparta na tematyce biblijnej pt. „Ma name Pilat" Jana du Parc. Akcja powieści toczy się w okresie Wielkiego Tygodnia i oparta jest na motywie słów Ewangelii św. Mateusza .....Kiedy siedział na stolcu sędziego (Pilat) powiedziała mu jego żona — nie zaczynaj z Tym Sprawiedliwym, albowiem dzisiaj we śnie przez Niego cierpiałam" (MT 27. 19).

Drugą powieścią, która wzbudziła zainteresowanie wśród katolików na Zachodzie, jest debiut młodego 24-letniego pisarza Jeana Gabriela „Saint Jacob". Jest to historia biblijnego Jakuba, widziana oczyma człowieka doby dzisiejszej. Książkę charakteryzuje głęboka znajomość problemów religijnych i staranne przygotowanie historyczne.

UROCZYSTOŚCI KU CZCI ZJEDNOCZENIA UKRAINY Z ROSJĄ

W Moskwie trwają obecnie uroczystości poświęcone uczczeniu 300-lecia zjednoczenia Ukrainy z Rosją. W uroczystościach biorą udział liczni artyści i literaci Ukraińskiej Republiki Związkowej. M. in. w Teatrze Wielkim w Moskwie odbył się występ Kijowskiego Teatru Opery i Baletu im. Tarasa Szewczenki, który m .in. dał opery N. Łysenki: Natalka-Połtawianka, K. Dankiewicza: Bohdan Chmielnicki, A. Borodina: Książe Igor.